Nr. 37. 30 h. = 25 fen.



SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.



Kraków, dnia 12 lutego 1910.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Ostatnia ofiara bożka.**



Przed cokołem, na którym stał bóg krwi Azteków, leżał bez życia profesor Ochterlhony.

Nr. 37. Kraków, dnia 10 lutego 1910. Nr. 37.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

ZE ŚWIATA.

Niemcy.

(Związek śpiewaków — bandą rozbójniczą.) Związek śpiewaków „Kalupen“ stawał przed sądem berlińskim pod ciężkim zarzutem dokonania całego szeregu włamywań i kradzieży. Ogółem było dziewięć osób, ośm mężczyzn i jedna młoda dziewczyna, kochanka jednego z oskarżonych. W audytoryum ukazało się wiele „narzeczonych“ oskarżonych, które z nimi zamieniały tajemne, porozumiewawcze spojrzenia i szeptem rozmawiały ze sobą o ewentualnym wyniku procesu. Bardzo daleko idące rozporządzenia poczyniono ze strony władzy, celem zapobieżenia ewentualnemu zakłóceniu porządku. Cały oddział żołnierzy usadowił się z boku i za „śpiewakami“, nie spuszczając z nich oka. Środki te nie były wcale zbyteczne, gdyż sędzia odczytał każdemu z nich długi regestr grzechów i skonstatował, że większość ich odcierpiała swego czasu kary ciężkiego więzienia.

Oskarżenie zarzuca podsądnym nałogową kradzież i systematyczne włamywania się, a skierowanem jest przeciw Henrykowi Dröger, zwanym „Czubatym“, Augustowi Radunz z pseudonimem „Czarny August“, Ottonowi Petschik, zwanemu „małym Hermanem“, Augustowi Kofowi, Ottonowi Janeckiemu, zwanemu „Hasenotto“, Stanisławowi Goszczyńskiemu, zwanemu „Jaś“, Karolowi Rebfeldowi („Niewierny“), Franciszkowi Daume bez pseudonimu i prostytutce Bercie Radenke.

Wymienieni byli członkami śpiewackiego towarzystwa „Kalupan“, odbywającego swe posiedzenia w pewnej knajpie, w istocie jednak był to klub zbrodniarzy.

Oznaką klubową była szpilka do krawatki, przedstawiająca łeb koński z perłowej macicy. Z tego lokalu odbywali związkowi swoje nocne wyprawy.

Każdy z członków znał dokładnie regulamin klubu i w miarę sił i zdolności swoich usiłował „z pożytkiem dla związku pracować“.

Ci specyaliści zwrócili oczywiście szczególniejszą baczność policyi na siebie, co w rezultacie doprowadziło do przyarestowania zbrodniczej bandy. Pewnego wieczoru, gdy z knajpy rozbrzmiewała właśnie wesoła pieśń klubowców, wtargnęła kryminalna policya i zaaresztowała wszystkich członków.

Herszt bandy Radunz nie znajdował się chwilowo między swoimi ludźmi. Pojechał on ze swoją narzeczoną w odwiedziny do jej rodziców, wskutek czego jego aresztowanie opóźniło się nieco. Część skradzionego dobra znaleziono jeszcze u oskarżonego Daumy.

Oskarżeni częściowo przyznali się do winy. częściowo zganiają winę jeden na drugiego.

Samych świadków zaprzysiężono 30!

Ciekawem było odczytanie statutów podczas rozprawy. Opłata wstępna wynosiła 2 marki, wkładka tygodniowa 30 fenigów.

Za to zobowiązane było towarzystwo udzielać członkowi, który „popadł w nieszczęście“, dziennej zapomogi po 3 marki. Wyrok opiewał:

Dröger trzy lata, Radunz cztery, Petschnik trzy i pół, Keloff trzy, Rebffeldt i Goszczyński po dwa lata, Daume dwa lata ciężkiego więzienia. Janecki półtora roku zwykłego więzienia. Radenkę uwolniono. Prócz tego oskarżeni otrzymali kary uboczne, jak strata czci obywatelskiej, policyjny dozór, etc.

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

OSTATNIA OFIARA BOŻKA.

ROZDZIAŁ I.

Dwaj niezwykli miłośnicy zabytków.

Sławny detektyw Szerlok Holmes wrócił do Londynu z dalekiej podróży, jaką odbył do Meksyku wraz z obu swymi pomocnikami, Harrym Taksonem i małym Chińczykiem Tuanem, dla wyświetlenia tam pewnej afery.

Radość gospodyni wielkiego detektywa, mrs. Bonnet, nie miała granic, gdy ujrzała w progach domu, wracających po długiej nieobecności, drogich jej domowników.

Detektyw z tajemniczą miną zapowiedział starej damie blizkie przybycie jeszcze jednego gościa, którego miał przywieźć z sobą z kraju Azteków. Miał to być cenny łup, zdobyty w Meksyku, co do którego jednak odmówił Holmes ciekawej gospodyni, wszelkich bliższych wyjaśnień. Wywołało to z jej strony żywe niezadowolenie, gdyż przypuszczała, iż cenny ten łup, najprawdopodobniej w osobie jakiegoś Indyanina z za morza, powiększy liczbę domowników.

Na drugi dzień przywieziono przed dom Holmesa wielką skrzynię, którą sześciu ludzi z trudem wniosło do mieszkania detektywa.

— Oto przybywa nasz nowy współtowarzysz, stary Meksykanin — rzekł Holmes do mrs. Bonnet, zabierając się z Harrym do otwarcia skrzyni.

Z wnętrza skrzyni, po jej otwarciu, wydobyli detektywi wielką, bronzową figurę. Gospodyni odetchnęła z ulgą. Nie było to wbrew jej obawom, nic żywego.

— Oto bóg Azteków Iclipucli — objaśniał Holmes odrażającą postać bożka.

Stary Bóg Azteków wyobrażony był w pozycyi siedzącej. W prawej ręce trzymał on miecz o trzech wężowatych klingach, lewą zaś dłonią obejmował małą figurkę kobiety o trzech głowach: smoczej, ludzkiej i wilczej.

Oczodoły Iclipucli były puste, cała statua wewnątrz była próżna, zaopatrzoną była u spodu w kryte drzwiczki, któremi kapłani dostawali się do wnętrza bałwanu. Tu ukryci, przemawiali do tłumów imieniem boga, w czasie składania mu ofiar ludzkich.

Wieść o przywiezieniu przez Holmesa z podróży, tego niezwykle rzadkiego zabytku dziejów i dzieła sztuki, szybko przez dzienniki dotarła do wiadomości publicznej. Teraz przekonał się rychło wielki detektyw, że posiadanie bóstwa Azteków ma także i swe nader ujemne strony.

Rozpoczęła się istna wędrówka narodów na Bakerstreet do mieszkania wielkiego detektywa. Od rana do późnego wieczoru cisnęły się liczne zastępy ciekawych, aby oglądnąć bożka Iclipucli, strasznego ludożercę.

Harry Takson objął rolę okaziciela i ze złośliwością kreślił zdumionym słuchaczom, w przesadnie krwawych barwach, straszne historye bożka.

Niedługo jednak, gdy napływ widzów nadspodziewanie ciągle wzrastał, Harremu obrzydło zupełnie uciążliwe zajęcie i porzucił objętą rolę demonstratora.

— Musimy absolutnie podnieść cenę wstępu na jednego szylinga — mówił z wściekłością do wiel-

kiego detektywa. — W przeciwnym razie będziemy zmuszeni wynieść się z mieszkania i oddać je na łup ciekawym.

Holmes obrał jednak inną drogę, celem zaradzenia złemu i postanowił pozbyć się bożka, ofiarując go jednemu z muzeów. Do czasu odstawienia statuy na nowe jej miejsce przeznaczenia, miała mrs. Bonnet, wszystkich przybywających dla oglądnięcia bożka, bezwarunkowo oddalać.

Mimo tego ścisłego nakazu, wprowadziła przecież gospodyni jednego wieczoru do salonu detektywa pewnego pana, który znanym był jako badacz starożytności.

Profesor Ochterlhony wyłuszczył natychmiast cel swego przybycia, skoro tylko wielki detektyw wyszedł naprzeciw niemu.

— Przywiozłeś pan, mr. Holmes, cenny ten kawałek i nie wiesz pan, co z tem przedsięwziąć. Podoba mi się ten zabytek i z chęcią go nabędę. Jakaż cena?

— Rzecz ta nie jest już do nabycia, właśnie przeznaczyłem ją dla muzeum i jutro sporządzę odpowiedni akt darowizny dla tej instytucyi.

— Ależ niech pan posłucha, mr. Holmes: ja chcę to za każdą cenę kupić.

— Żałuję mocno, lecz nie uważam już statuy za moją własność.

— Nie chcesz pan tedy mnie jej sprzedać?

— Niestety, nie!

— Well! Jak niemożliwe, to trudno. Mam jednak teraz inną propozycyę. Jest to panu wiadomem, mr. Holmes, że całe moje mienie — a wiesz pan, że posiadam kosztowności i rzadkie zabytki bezcennej wartości — zapisałem muzeum?

— Wiem o tem, mr. Ochterlhony i właśnie pański piękny przykład spowodował mnie do ofiarowania tego rzadkiego zabytku muzeum, a więc ogółowi.

— Bardzo dobrze! Porozumiemy się wkrótce zupełnie zgodnie. Posłuchaj pan tylko.

Ja muszę posiąść tego bożka. Co żądasz pan za wypożyczenie mi tegoż aż do mej śmierci, po której natychmiast wraz z wszystkimi innemi zabytkami, przejdzie i ten posąg na własność muzeum. Zapłacę za to najwyższą cenę, byle tylko figura do mego zgonu w mem mieszkaniu pozostawała. Pomyśl pan tylko, mr. Holmes, ile dobrego możesz pan zdziałać uzyskaną odemnie kwotą, nie odstępując zupełnie od swego zasadniczego postanowienia, że statua ma przejść na własność muzeum.

Gdy wreszcie profesor Ochterlhony opuścił dom przy Bakerstreet, Szerlok Holmes posiadał w ręku czek na znaczną sumę.

— Niezwykły okaz ten profesor, istna sowa. Sądzę, że niema mu na świecie równego. — Za to, że do schyłku życia będzie mógł przechowywać tego potwora w swoim domu, ofiarowuje bajeczną sumę. Czy to nie graniczy z szaleństwem?

Harry, który w powyższy sposób wyraził swe przekonanie, miał w krótce poznać, iż był w błędzie; drugi podobny niezwykły okaz, znajdował się nawet w samym Londynie.

W domu wielkiego detektywa gotowano się już do spoczynku, gdy gwałtowne dzwonienie u bramy przerwało ciszę nocną.

Harry, wysłany do bramy na zwiady, wrócił z kartą wizytową w ręce.

„Lord Maston“ brzmiał napis na karcie, a Holmes, przeczytawszy go, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Uważaj Harry, teraz otrzymamy drugą ofertę na bożka. Zupełnie o lordzie zapomniałem.

— Czy to także zwaryowany zbieracz zabytków?

— Jeszcze większy, ale zarazem i bogatszy od starego profesora. Obaj są oni zresztą, mimo rywalizacyi i różnicy wieku — lord jest jeszcze młodym mężczyzną — najlepszymi przyjaciółmi. Nie przeszkadza im to zarazem wcale, że wzajemnie zazdroszczą w sobie posiadanych osobliwości i że jeden stara się na wszelki sposób ubiedz drugiego przy nowych zakupnach.

Słowa dektywa przerwało wejście lorda do pokoju.

— Daruje pan moje późne przybycie, mr. Holmes, lecz znajdowałem się właśnie w Rzymie, gdy mię doszła wiadomość o pańskim odkryciu. Dzień i noc spieszyłem stamtąd specyalnym pociągiem, by tylko nie przybyć za późno.

— Czy pański pośpiech i troska miały na celu bóstwo krwi Iclipucli, mylordzie? — zapytał Holmes z uprzejmym uśmiechem.

— Cóż innego mógłbym mieć na myśli? Cały świat mówi przecież o pańskiej zdobyczy. Przez znalezienie tego meksykańskiego bożka wojny, zyskasz pan światową sławę, jeśli nie posiadasz jej już jako detektyw.

— Zbyt to dla mnie pochlebne, mylordzie.

— Pragnę statuę tą kupić i dlatego spieszy-

łem na łeb na szyję, by się nie spóźnić, gdyż na takie osobliwości czyhają liczni kupcy.

— Mocno żałuję, iż wasza lordowska mość, mimo specyalnego pociągu spóźniłeś się i tak jeszcze o całą godzinę. Bóg wojny jest już sprzedany.

— Ochterlhony?

— Tak, profesor Ochterlhony.

Tylko do tego nazwiska zdawał się lord Maston przywiązywać wagę.

— A więc znowu stary ten lis wystrychnął mię na dudka. Na wszelki sposób muszę jednak przyjść w posiadanie tej rzeczy. Na szczęście nie odesłałeś mu pan jeszcze statuy do domu, zapłacimy profesorowi odszkodowanie i natychmiast unieważnimy kupno. Cóż mógł ten nędzarz ofiarować panu za to dzieło sztuki? Cały jego majątek nie wystarczyłby na zapłacenie pełnej wartości tego zabytku. Nie znałeś pan istotnej wartości swego skarbu, mr. Holmes. Ja nie należę jednak do rzędu tych, którzy ciągną zyski z nieświadomości drugich. Zapłacę natychmiast odszkodowanie dla profesora i ofiaruję panu najwyższą cenę, odpowiadającą rzeczywistej wartości tej kosztowności.

Wystawię panu natychmiast odpowiedni czek do mego bankiera.

Mówiąc to, dobył lord porywczo z kieszeni książeczkę czekową. Szerlok Holmes, niezwykle ubawiony tą wściekłą manią zbieracza, rzekł jednak:

— Nie trudź się pan, mylordzie. Posąg bożka jest już niestety nie do sprzedania. Również nie sprzedałem go profesorowi, lecz za pewną sumę wypożyczyłem mu statuę w dożywocie; po jego śmierci przechodzi zabytek na własność ogółu, gdyż ofiarowałem go już do muzeum.

— A więc dobrze, mr. Holmes! Skoro ofiarowałeś pan bożka Iclipucli do muzeum, nie możesz go żadną miarą sprzedać. Co jednak potrafi Ochterlhony, będzie znacznie jeszcze łatwiejszem dla lorda Mastona. Zapłacę panu za oddanie mi w dożywotne przechowanie posągu tą samą kwotę, którą ofiarowałem za jego zakupno.

— Żałuję mocno, lecz nie będzie to możliwem do wykonania, gdyż profesor żadną miarą nie przyjmie odszkodowania. Nadto, jesteś pan dla mnie na podobny układ za bardzo młody i kto wie, jak długo musiałoby muzeum czekać na swą własność — żartował wielki detektyw w przystępie dobrego humoru.

Chwilę lord zamilkł, następnie zaś rzekł tonem, nie pozwalającym wątpić w powagę i prawdziwość słów jego.

— Obowiązuję się słowem honoru w dniu śmierci profesora Ochterlhony również umrzeć, aby muzeum nie potrzebowało dłużej czekać na swą własność. Weź pan ten czek i oddaj mi Iclipucli. Muszę i chcę go posiadać za każdą cenę.

Wiele trudu kosztowało Holmesa, zanim zdołał lorda, zapalonego zbieracza osobliwości przekonać, że w tym wypadku nie da się już nic uzyskać, choćby największą gotówką.

— Nie jestem w możności, pertraktować z panem, mylordzie, dalej jeszcze w sprawie tego przedmiotu.

Jedynie, zgodziłbym się na to, aby profesor wypożyczył panu na krótki, oznaczony termin, statuę do mieszkania. Ostatecznie jednak, ze śmiercią tego staruszka musi rzecz ta znajdować się we właściwym miejscu jej przeznaczenia. Niech pan, mylordzie, spróbuje porozumieć się w tej kwestyi z profesorem.

Lord spostrzegł, iż nic tutaj już nie uzyska. Pożegnał się tedy i przepraszając usilnie za wizytę w niestosownej porze, opuścił mieszkanie.

Ostatnie jego słowa do detektywa, który go wyprowadzał, były:

— A choćbym miał ponieść największe ofiary, muszę przyjść w posiadanie boga Azteków.

ROZDZIAŁ II.

Zbrodnia w South Eastern.

Na drugi dzień i lord Maston ponownie zjawił się w mieszkaniu Szerloka Holmesa, narzekał, że z profesorem nie może się porozumieć i prosił wielkiego detektywa o pośrednictwo.

Bożek nie znajdował się już jednak w posiadaniu Holmesa. Profesor Ochterlhony zabrał go wczesnym rankiem i oddał w przechowanie do specyalnego zakładu. Do swego domu, położonego w parku w South Eastern nie mógł go odrazu zabrać, gdyż nie miał go gdzie narazie pomieścić; wszystkie bowiem pokoje formalnie były zapchane najrozmaitszego rodzaju osobliwościami, olbrzymiej

wartości. Trzeba więc było niektóre przedmioty usunąć, aby zrobić miejsce dla bożka Iclipucli. Przy tej robocie zastał profesora lord Maston. Profesor nie był niezadowolony z tej wizyty, gdyż każdy zbieracz starożytności bardziej cieszy się z zazdrości współzawodnika, niż z nabycia jakiejś osobliwości, a lord wcale nie ukrywał, że gorąco zazdrościł profesorowi cennego nabytku.

— Kochany lordzie — odpowiedział ostatecznie profesor na ciągłe nagabywania młodego arystokraty — dzisiaj panu rzeczywiście nic nie mogę powiedzieć. Najpierw musi bożek stanąć ot tu przy oknie, między temi dwoma najpiękniejszemi i największemi wazami, jakie w całej Anglii istnieją. Jeżeli nie wywoła on spodziewanego wrażenia, wtedy możemy pańskie pragnienia wziąć pod rozwagę.

Przyjdź pan więc tutaj, mylordzie, pojutrze na uroczystość instalacyi bożka, to pogadamy.

Stary profesor zapraszał lorda na uroczystość tą tylko po to, aby nasycić się zazdrością konkurenta i rywala.

Lord odgadł już, że celu swego dziś nie osiągnie; chciał jednak przy sposobności załatwić inną sprawę.

— Sprzątnąłeś mi pan niedawno z przed nosa, profesorze, szkatułkę wysadzaną drogimi kamieniami; odstąp mi pan więc przynajmniej to, zapłacę, ile pan będzie tylko żądał.

— O tem możemy pomówić — odpowiedział profesor. — Ale sprzedawać tego nie myślę. Pan kochany lordzie, masz kilka drobnostek, które mi się podobają. Możemy się więc pomieniać.

Pożegnawszy się z profesorem, udał się lord Maston jeszcze raz do Szerloka Holmesa, ale ten nie chciał już o tem nawet mówić, dla niego cała ta sprawa była już skończoną; o Iclipucli nie miał zresztą czasu myśleć.

Tymczasem w willi w South Eastern, pod osobistem kierownictwem profesora, czyniono przygotowania na przyjęcie bożka. W największej sali, między dwoma wielkiemi wazami ustawiono żelazny cokół. Z wielkim trudem sprowadzono wreszcie statuę i umieszczono ją na tym zaimprowizowanym tronie.

Muzeum profesora mieściło się w salach parteru i pierwszego piętra. Na drugiem piętrze mieszkał on sam. Służba, wyłącznie męska, mieszkała w suterenach.

Przedmioty, jakie profesor nagromadził w swym domu, miały nieoszacowaną wartość. Profesor Ochterlhony zaopatrzył więc cały dom w najnowsze mechanizmy, celem zabezpieczenia się przed włamaniem i kradzieżą.

Wszystkie okna zaopatrzone były z zewnątrz w silne kraty; cały dom otoczony był siecią drutów, będących silnymi przewodami elektryczności. Biada temu, kto się ich dotknął; taki człowiek uciec już nie mógł. Oprócz tego profesor połączony był przy pomocy telefonu i telegrafu bezpośrednio z biurami policyi na Scotland-Yard. W każdym pokoju umieszczone były nadto automatyczne przyrządy alarmujące, które za najlżejszem dotknięciem alarmowały urzędników policyi w Scotland-Yard.

Na uroczystość instalacyi bożka, profesor Ochterlhony zaprosił wiele gości; między zaproszonymi znajdował się także znany inspektor ze Scotland-Yard, przyjaciel Szerloka Holmesa, Mc. Gordon który był nietylko zdolnym detektywem, ale także namiętnym miłośnikiem starożytności. Po obejrzeniu więc zbiorów profesora, z całym zajęciem przypatrywał się sieci dzwonków, przyrządom alarmowym i innym aparatom, zabezpieczającym profesora przed włamaniem.

— Muszę panu, profesorze, wyrazić podziw. Zdaje mi się, że urzędnicy ze Scotland-Yard nigdy nie będą mieli tu roboty. — Z temi słowy inspektor opuścił dom profesora.

Było to koło północy. Inspektor Mc. Gordon pełnił nocną służbę w głównej kwaterze; nagle zaczął dzwonić aparat alarmowy. Inspektor skoczył na równe nogi. Alarm pochodził z willi profesora w South Eastern. — W kilka minut później, inspektor Mc. Gordon gnał jak wicher na rowerze do domu profesora Ochterlhony. Towarzyszyło mu kilku urzędników policyjnych... Policyanci, przybywszy do parku South Eastern, zwykłą drogą dostali się do bramy. Tu jednak czekała ich niespodzianka. Brama była zamknięta i mimo gwałtownego dzwonienia, nikt jej nie otwierał; detektywi chcieli więc przez kraty wejść do wnętrza domu, lecz inspektor Mc. Gordon nie pozwolił im na to, wiedząc, że kraty naładowane były silnie elektrycznością. Wszelkie wysiłki konstabli, aby otworzyć bramę, okazały się bezskuteczne. Inspektor Mc. Gordon pociągnął więc jeszcze raz za dzwonek, tak silnie, że urwał rączkę.

Nagle w sieni dały się słyszeć jakieś kroki i gniewnym głosem począł ktoś wołać:

— Precz stąd, nicponie, włóczęgi, bo zawołam policyantów, którzy was uspokoją!

Tego było już Mc. Gordonowi za dużo. Trzęsąc się ze złości, zawołał:

— Tu właśnie jest policya. Jestem inspektor Mc. Gordon ze Scotland-Yard, a przybyłem tu, zawezwany przez sygnał alarmowy. Otwieraj więc czemprędzej bramę.

Służący, stary kamerdyner profesora, gdyż on to wyszedł do sieni, usłyszawszy te słowa, poszedł obudzić swego pana. Po drodze zauważył, że drzwi prowadzące do wielkiej sali, w której umieszczono bożka Iclipucli, są uchylone, a wewnątrz świeci się. Zastanowiło to służącego, który zbliżył się do dzwi i spojrzał do pokoju; w tej samej chwili jednak odskoczył z głośnym krzykiem.

Prawie nieprzytomny pobiegł stary kamerdyner do skrytki — znanej tylko profesorowi i jemu — i zamknąwszy aparat bezpieczeństwa, pospieszył do bramy.

— Czyście rzeczywiście z policyi? — zapytał drżącym z przerażenia głosem.

— Człowieku; opamiętaj się i puść nas natychmiast; tu niema czasu na pytania i odpowiedzi.

— Ah, już za późno! Mój biedny pan... — jęknął stary i otworzył żelazną bramę.

Inspektor Mc. Gordon wysłał trzech detektywów do parku, jednego pozostawił przy wejściu, a sam w towarzystwie kamerdynera i dwóch pozostałych detektywów wszedł do środka willi i podążył do sali, w której widać było światło. Mc. Gordon posiwiał już w swojej służbie i nie łatwo ulegał wzruszeniu; wszedłszy jednak do pokoju, zatoczył się z przerażenia. Widok był rzeczywiście straszny. Człowiek zabobonny byłby pomyślał, że bożek Azteków ożył i własną ręką zabił swoją ofiarę.

Przed cokołem, na którym stał bożek Iclipucli, leżał nieżywy profesor Ochterlhony. (Zobacz rycinę tytułową).

Mc. Gordon, który wkrótce odzyskał całą przytomność umysłu, zabrał się do roboty: niczego niepominął, zaglądał w każdy kąt i jako doświadczony kryminalista musiał sobie wreszcie powiedzieć, że ma do czynienia z nadzwyczaj tajemniczym wypadkiem, wymagającym największej ostrożności.

Inspektor przeszukał więc jak najdokładniej pokój, w którym znaleziono profesora, a następnie wszystkie inne ubikacye, poczem zaczął badać starego kamerdynera.

— Czy nie słyszeliście żadnego hałasu, lub jakiegoś poderzanego szmeru?

— Nie, panie inspektorze: dopiero pańskie dzwonienie zbudziło mię.

— Wasz pan poszedł spać wczoraj o godzinie dziewiątej?

— Tak. Pan profesor był nadzwyczaj punktualny. Wszystko robił z zegarkiem w ręku; od tego przyzwyczajenia nie odstępował nigdy. Punktualnie o godzinie dziewiątej szedł spać. To samo zrobił wczoraj. Pomógłszy mu, jak zwykle, przy rozbieraniu, zeszedłem na dół i nastawiszy elektryczny aparat bezpieczeństwa, poszedłem spać. W jaki jednak sposób pan profesor znalazł się tu ubrany, tego nie rozumiem.

Inspektor spojrzał ostro na służącego wzrokiem, w którym przebijało się jakieś podejrzenie. Służący zbladł i wyjąkał:

— Panie inspektorze — chyba pan nie przypuszcza – że ja — że to ja — mojego pana, któremu od 30 lat...

Dalej nie mógł mówić; po zapadłych policzkach zaczęły mu spływać łzy. Inspektor Mc. Gordon spostrzegł, że był na fałszywym tropie.

— Uspokójcie się – zawołał. — Wiem, że prędzejbyś sam zginął, niżbyś miał dopuścić, aby twemu panu stało się co złego.

Mówicie, że o godzinie dziewiątej rozebraliście profesora, a potem otwarliście aparat bezpieczeństwa. Wobec tego nie mógł tu już nikt wejść. W takim razie zbrodniarz musiał tu wejść przedtem. Profesor, który jeszcze nie spał, usłyszał szmer i wstał, aby się przekonać, co się dzieje. Tu spotkał się z mordercą i zginął.

Tak wygląda moja kombinacya. Ale jest parę pytań, na które na razie nie mogę znaleźć odpowiedzi.

Kto zaalarmował policyę? Czy sam profesor? To zdaje się być wykluczonem. Gdyby bowiem profesor, usłyszawszy szmer, chciał wezwać tym alarmem pomocy, to byłby użył jednego z aparatów, znajdujących się w pokojach na piętrze. Tego jednak, jak się przekonałem, nie uczynił. Profesor nie myślał wołać pomocy, zanimby nie przekonał się, czy się nie omylił. W każdym razie wszystkie przyrządy alarmowe w całym domu, z wyjątkiem umieszczonego w tym pokoju przy drzwiach, są nieużywane.

Teraz dalej:

Profesor wszedł do tego pokoju i jak wszystkie oznaki stwierdzają, zwrócił się natychmiast do najnowszego nabytku, aby u stóp krwawego bożka zginąć. To, żeby starzec ciężko ranny podszedł jeszcze do drzwi, aby puścić w ruch aparat alarmowy i wrócił potem do posągu, jest absolutnie wykluczone. Byłby bowiem zostawił po sobie krwawe ślady. Kto więc po dokonaniu morderstwa wprawił w ruch aparat alarmowy?

Gdzie jest broń, którą dokonano morderstwa?

I wreszcie: Gdzie jest morderca?

Jeśliście rzeczywiście dopiero wtedy zamknęli aparat bezpieczeństwa, gdyście szli otwierać nam bramę, to jest wykluczonem, aby morderca mógł wyjść z domu. Musi więc być tutaj, gdyż wyjścia są obsadzone.

— Oprócz was, jest tu jeszcze trzech służących?

— Tak, panie inspektorze. ale ci nie wchodzą w rachubę. Pan profesor prócz mnie, nie ufał nikomu; dlatego też koło drzwi ich pokoju założyliśmy dzwonek, o którym oni nie wiedzieli. Gdyby który z nich wyszedł po godzinie dziewiątej wieczór z pokoju, to w tej chwili odezwałby się dzwonek u profesora na górze i u mnie na dole. Żaden więc z nich nie może tu wchodzić w rachubę.

— Któż więc jest mordercą? — zawołał wzburzony inspektor. — Wy nie, żaden z waszych kolegów także nie, cały dom zamieniony w twierdzę, do której nikt nie może wejść; któż więc do dyabła popełnił morderstwo?

— To pan nie wiesz wszystkiego, panie inspektorze. Wtajemniczeni, posiadający w zupełności zaufanie pana profesora, mogli wejść do willi po godzinie dziewiątej i wyjść, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Wchodzili oni przez małą furtkę, otwieraną specyalnym kluczem, który służył zarazem do wyłączenia elektrycznych bateryj.

Pan mój wprawdzie szedł spać punktualnie o godzinie dziewiątej; ale jeżeli ktoś przyszedł, to wstawał do niego.

— Tego nie rozumiem — zawołał inspektor.

— Tak, mój pan, robił dużo rzeczy, których zwykły człowiek nie rozumie. Ja sam przypuszczam, że pan profesor miał jakieś specyalne osobliwości, które pokazywał tylko najzaufańszym przyjaciołom, tak sobie tłómaczę te dziwne, nocne odwiedziny.

Inspektor gwizdnął cicho przez zęby; zdawało się, że w ciemnościach, jakie otaczały tą sprawę, błysnął jasny promień.

— Powiedzcie mi, czy macie gdzie spis wszystkich przedmiotów?

— Tak — każdy przedmiot zapisany był w katalogu.

— A czy tu czego nie brakuje?

Stary przystąpił do oszklonej szafy, w której mieściły się najkosztowniejsze przedmioty. Ledwie jednak spojrzał, krzyknął zdziwiony.

— Niema tu kunsztownej szkatułki, wysadzanej drogimi kamieniami, którą profesor niedawno nabył, a której zazdrościli mu wszyscy zbieracze starożytnych zabytków.

— Czy profesor nie schował tego gdzieindziej, albo ją może sprzedał, lub zamienił?

— To jest wykluczone. Wiem, że lord Maston, który także chciał posiadać tego bożka, ofiarowywał za tą szkatułkę niebywałą cenę. Pan profesor nie chciał jednak, mimoto żadną miarą jej sprzedać! — Nagle do pokoju wszedł policyant z zawiadomieniem, że przybyła komisya sądowa. Komisya oglądnęła zwłoki profesora i przeszukała cały dom od góry do dołu. Nie znaleziono jednak nic, coby mogło naprowadzić na ślad mordercy.

ROZDZIAŁ III.

Lord Maston, mordercą profesora?

Inspektor Mac Gordon miał przed sobą ciężkie zadanie do rozwiązania. „Sprawa Ochterlhony“ była nadzwyczaj zawikłaną. Mc. Gordon zabrał się z całą gorliwością do pracy, tem bardziej, że musiał podreperować swoją reputacyę detektywa, która w ostatnich czasach została kilkakrotnie na szwank narażoną. Zagadka z South Eastern musiała być za każdą cenę rozwiązaną.

Cóż więc miał najpierw zrobić?

Przedewszystkiem nie powinien spuszczać z oka służby zamordowanego profesora. Tam zawsze jeszcze mógł się czegoś nowego dowiedzieć. W międzyczasie zdołał się dowiedzieć, że lord Maston chciał koniecznie nabyć krwawego bożka wojny Azteków, Iclipucli. To mu jednak nie wystarczało.

Zdecydował się więc, chociaż z ciężkiem ser-

cem, póiść w odwiedziny do Szerloka Holmesa. Szedł tam niechętnie, chociaż Szerlok Holmes był jego największym przyjacielem; wiedział bowiem, że wielki detektyw lubi sobie czasem pokpić, tembardziej, że w ostatnich czasach dał mu kilka rad, których inspektor jednak nie usłuchał i kilkakrotnie spudłował.

Szerlok Holmes przyjął Mc. Gordona nadzwyczaj serdecznie.

— Ah! inspektor Mc. Gordon. Dawno pana nie widziałem. Wy panowie ze Scotland Yardu jesteście zazdrośni; takie piękne wypadki, jak „sprawa Ochterlhony“ zatrzymujecie dla siebie, a Szerlokowi Holmesowi pozostawiacie taką głupią robotę jak kradzieże w muzeum Kensingtown.

— Kpij pan sobie, mr. Holmes, zasłużyłem na to. Strzeliłem parę bąków, ale teraz pana posłucham. Ale, ale, czy lord Maston rzeczywiście ofiarowywał panu i profesorowi za tego bożka takie kolosalne sumy? Co on przy tem mówił?

Szerlok usiadł wygodnie w fotelu; trzaskał palcami. Było to oznaką dobrego humoru. Zaczął więc opowiadać.

Inspektor słuchał z całą uwagą. Za każdem słowem Szerloka Holmesa oblicze jego wypogadzało się. Wreszcie, gdy wielki detektyw umilkł, zerwał się z młodzieńczą werwą z fotelu i gorączkowo biegał po pokoju.

— Tak, to tak samo, jak sobie kombinowałem! To samo! — Tak, tak, ta pasya zbierania może doprowadzić nawet do zamordowania najlepszego przyjaciela. Znam ja to dobrze, sam byłem bowiem amatorem marek. Wiem, co to znaczy.

— Ależ inspektorze, przecież pan nie obciążałbyś chyba swego sumienia zbrodnią, dla jakiejś głupiej marki.

— Cóż znowu, pan ze wszystkiego musisz kpić. Dla mnie cała ta sprawa jest już jasną. Potrzeba mi jeszcze jednego tylko dowodu; będę go szukał i znajdę, a potem ten panek będzie w moich rękach.

Szerlok Holmes drwiąco przypatrywał się wzburzonemu detektywowi.

— Chcesz więc pan włamać się, inspektorze, do mieszkania lorda Maston, aby się przekonać, czy nie znajdziesz tam szkatułki profesora Ochterlhony?

— Pan rzeczywiście odgadujesz myśli, mr. Holmes.

— No, przecież to można łatwo wyczytać z pańskiej twarzy. Ale pozwól, pan, że mu zadam jedno pytanie: Co pan zrobisz, jeżeli pan w mieszkaniu lorda Mastona znajdziesz rzeczywiście szkatułkę.

— Każę sobie naturalnie wystawić rozkaz aresztowania lorda Mastona i natychmiast go uwięzę.

Szerlok Holmes zbliżył się do wzburzonego inspektora i położył mu rękę na ramieniu.

— Gdy ja chcę dać panu dobrą radę, to pan myślisz o aresztowaniu młodego lorda. Choćbyś pan nawet znalazł w jego mieszkaniu tę szkatułkę, to mimoto jest on niewinny. A więc nie spiesz się pan, bo łatwo możesz się skompromitować.

— Tak? — — — No, chyba Iclipucli, czy jak on się tam nazywa, nie zamordował profesora? — zauważył cierpko Mc. Gordon.

— Kto wie! — odpowiedział spokojnie wielki detektyw.

Usłyszawszy, taką odpowiedź inspektor Mc. Gordon, pożegnał się i opuścił mieszkanie Szerloka Holmesa. Idąc po schodach, mruczał:

— Ten Holmes z każdym dniem staje się coraz więcej niemiły. Zdaje mu się, że on wszystko wie. Chociaż ostatni raz, to dobrze mi radził. Ale wszystko mi jedno. Tym razem jestem pewny swego. Wiem już, co mam robić.

Jeszcze tej samej nocy udało się inspektorowi wślizgnąć niespostrzeżenie do mieszkania lorda Mastona, gdzie ku wielkiemu zadowoleniu znalazł rzeczywiście drogocenną szkatułę, której brakowało w zbiorach profesora.

Inspektor z trudem stłumił okrzyk tryumfu. — Cóż to za oczy zrobi przyjaciel Holmes, gdy się o tem dowie — myślał, a jego mała, niepozorna postać, zdawała się rosnąć z dumy.

Fakt, że szkatułka stała na widoku, nie zbił z tropu inspektora. Sądził on, że lord Maston naumyślnie postawił ją w miejscu widocznem, aby odwrócić od siebie podejrzenia.

Nie tracąc czasu, z całym pośpiechem udał się do Scotland Yardu i po jakimś czasie dzwonił do mieszkania lorda Maston, mając już przy sobie rozkaz aresztowania go, jako podejrzanego o morderstwo.

— Proszę mię zameldować Jego lordowskiej mości — rzekł służącemu, który mu otworzył drzwi.

— Jego lordowska mość jest obecnie w Albany-klubie, tam go pan znajdzie — odrzekł służący.

Inspektor pospieszył pod wskazany adres i kazał wywołać lorda Maston. Po kilku minutach młody lord pojawił się w salonie. Mc. Gordon zbliżył

się ku niemu i pokazując rozkaz aresztowania, wyrzekł poważnym tonem:

-- Lordzie Maston, aresztuję pana w imieniu Jego Królewskiej Mości.

Rozbawiony lord wziął to za żart któregoś ze swoich przyjaciół, rzekł więc z przyjacielskim uśmiechem do inspektora.

— Wiem już, kochany przyjacielu; chcecie mi zrobić figla. Jednak nie uda się wam to. Chodź pan i napij się z nami wina. Wyśmienicie pan to zrobiłeś.

— Mylordzie, jesteś pan w błędzie. Jesteś pan aresztowany rzeczywiście.

Lord poznał teraz, że to już nie są żarty.

— Powiedz mi pan przynajmniej, jakie podejrzenie na mnie ciąży.

— Podejrzenie o morderstwo i rabunek, dokonane na osobie profesora Ochterlhony.

Lord usłyszawszy to oskarżenie, wybuchł głośnym śmiechem, który zwabił do salonu wszystkich jego przyjaciół.

— Czy wiecie najnowszą nowinę? Ten pan ze Scotland-Yard oświadczył mi, że mię aresztuje, jako mordercę profesora Ochterlhony. Cóż wy na to?

Członkowie klubu wyrażali głośno swe oburzenie. Jeden ze starszych panów zbliżył się do inspektora i rzekł wyniośle:

— Jak pan śmiesz tu wchodzić i aresztować tak szanowną osobistość, jak lord Maston? My pana pociągniemy za to do odpowiedzialności!

Inspektor, mając rozkaz aresztowania, odrzekł szorstko:

— Wypraszam sobie wszelkich uwag. Czy pan pójdzie dobrowolnie ze mną, mylordzie Maston? Sądzę, że zachowałem względy, jakie się panu należą. Czas mój jednak jest ograniczony.

— Jesteś pan tak pewny siebie? – zapytał młody lord.

— Wierz mi pan, mam wystarczające dowody pańskiej winy; pozwól pan, mylordzie: w jaki sposób znalazła się w pańskiem mieszkaniu drogocenna szkatułka profesora Ochterlhony?

— Dostałem ją od profesora w drodze zamiany. Dałem mu za nią dziesięć starych monet rzymskich.

— Możesz pan, mylordzie, udowodnić, żeś niedawno posiadał te monety?

— Ja je mam jeszcze.

— Tak?! A przecież dopiero co powiedziałeś pan, żeś je dał profesorowi?

— Miałem mu je dać wczoraj. Tymczasem w międzyczasie profesora zamordowano.

— Dobrze, mylordzie, niech pan znajdzie takich sędziów, którzyby panu uwierzyli. Ale musimy już iść. — — —

W godzinę później, młody lord znajdował się już w areszcie śledczym.

— Czy będę chciał, czy nie, będę zmuszony wmieszać się w tą aferę — mówił Szerlok Holmes do swego ucznia, Harrego.

— Lord Maston jest zupełnie niewinny, ale mimoto mogą go powiesić, na podstawie tych poszlak, jakie mają.

— Bezwątpienia, mistrzu. Wszystko przemawia przeciw niemu. Miał on klucz od bocznego wejścia; nie może wykazać, gdzie był wtedy, gdy profesor padł ofiarą mordu. W jego mieszkaniu znaleziono drogocenną szkatułkę profesora Ochterlhony. Monety rzymskie, które miał dać profesorowi w zamian za tę szkatułkę, miał jeszcze u siebie. Któż teraz uwierzy w jego niewinność?

— Mylisz się, kochany chłopcze, cokolwiek. Lord był zaufanym przyjacielem profesora. Na jego słowie można było z całą pewnością polegać. Nie jest więc tak nieprawdopodobnem i niezrozumiałem, jak to sąd twierdzi, że profesor dał mu szkatułkę, zadawalniając się w zamian obietnicą otrzymania monet. Jest więc zupełnie jasnem, w jaki sposób szkatułka profesora znalazła się w domu lorda. Inaczej się ma rzecz z pytaniem: Gdzie był lord w chwili, gdy na osobie profesora dokonano mordu? Spodziewam się, że i na to znajdę odpowiedź.

— Ale wracajmy do rzeczy. Jak ci wiadomo, w muzeum Kensingtonu powtarzają się od kilku tygodni ciągłe kradzieże. Wiesz, że znaleźliśmy ślady sprawcy. Będziesz go więc dalej śledził przy pomocy Tuana.

Nie potrzebuję ci chyba zalecać ostrożności. Złodziej ten jest nadzwyczaj przebiegły i na wszystko zdecydowany.

Jeżeli dowiesz się czegoś ciekawego, to daj mi zaraz znać! — —

ROZDZIAŁ IV.

Rabusie muzeów.

Muzeum Kensingtown, jedno z największych przybytków sztuki angielskiej metropolii, ucierpiało w ostatnich tygodniach nader poważnie, ponosząc dotkliwe straty z powodu szeregu kradzieży, dokonanych przez nieznanych sprawców z niezwykłą przebiegłością i sprytem.

Prawie wszystkie skradzione przedmioty — a była ich już poważna liczba — przedstawiały wielką wartość, jedynie dla zbieraczy i miłośników zabytków.

Pieniężna wartość skradzionych przedmiotów była tem mniejszą, iż nikt nie chciał narazić się na poważne niebezpieczeństwo surowej kary, nabywając pochodzące z kradzieży rzeczy.

Stąd panowało ogólne przekonanie, że sprawca kradzieży wysyła łupy swe za granicę, gdzie zakupują je miłośnicy sztuki.

Ze sposobu i rodzaju kradzieży wnosić było można, że złodziej posiada niezwykle wyrobiony zmysł smaku i znajomość sztuki, gdyż kradł tylko najkosztowniejsze dzieła sztuki tj. takie, które dla zbieraczy przedstawiały nieocenioną wartość, nie odznaczały się zaś na zewnątrz świetnością ozdób z drogich metali, lub szlachetnych kamieni.

Wszelkie wysiłki urzędników ze Scotland-Yard, celem wytropienia sprawcy pozostawały bez skutku, a kradzieże, mimo daleko idących środków ostrożności, ponawiały się stale. To spowodowało, że zarząd muzeum zwrócił się ostatecznie z prośbą o interwencyę do sławnego detektywa Szerloka Holmesa. Ten zajął się ze zwykłą sobie gorliwością wypadkiem, nie mógł jednak uzyskać żadnych pozytywnych rezultatów.

Przyszła teraz kolej na Harrego Taksona i Tuana, spróbować szczęścia w poszukiwaniach za złodziejem.

Zadanie nie było wcale łatwe i jakkolwiek Harry był nader dumnym z zaufania mistrza, który dał mu w tej sprawie wolną rękę, z troską i obawą spoglądał w przyszłość, nie wiedząc jakie niespodzianki sprawa ta mu mu zgotuje.

Mały Tuan, widząc zasępione oblicze towarzysza, pocieszał go, jak umiał.

— Niech mr. Takson będzie najlepszej myśli, gdyż pewnie schwytamy złodzieja, co nie udało się mr. Holmesowi. Mam już pewien plan, w jaki sposób tego łotra złapiemy.

Harry machnął z lekceważeniem ręką na wynurzenia małego Mongoła.

Gdy przyszli do muzeum, rozglądał się Tuan bacznie na wszystkie strony.

Bawiło tu kilka osobistości, które z zajęciem oglądały wystawione osobliwości. Stała tu wielka bronzowa figura, przedstawiająca dawnego wojownika japońskiego, w powłóczystym stroju.

— Tuan — odezwał się mały Chińczyk do Harrego – ukryje się tu w tym Japończyku i stąd będzie mógł śledzić całą salę. W drugiej sali również stoją figury, niech master Takson wlezie tam do której z nich, a będzie mógł mieć znowu na oku drugą salę. Musimy jednak ukryć się tutaj wieczorem, gdy już nie będzie nikogo i pozostać w ukryciu przez całą noc. Złoczyńcy przyjdą pewnie w nocy, lub z rana, pozwolimy im w spokoju kraść i odejść. Potem podążymy za nimi i odkryjemy ich gniazdo.

Istotnie sprytna z ciebie szelma, trudno spotkać tobie podobnego. Ale plan twój ma szanse powodzenia. Bieda będzie tylko z naszymi żołądkami, gdyż nie mamy ze sobą żadnych prowiantów.

Skośnooki malec, z tryumfalnym grymasem zapuścił rękę w fałdy swego egzotycznego a obszernego stroju i wydobył z kieszeni kilka różnych pakietów.

— Tuan być w kuchni, w czasie gdy mrs. Bonnet tam nie było i zabrał nieco do zjedzenia i picia.

— Tuan, ty jesteś istotnie wspaniałym chłopcem. Sądzę, że jeszcze w przyszłości będziesz opatentowany na zupełnego człowieka.

Twarz małego Chińczyka promieniała radością w czasie tej pochwały. Możność zostania kiedyś patentowanym człowiekiem, uważał za szczyt swych marzeń.

Skradzione przez Tuana mrs. Bonnet zapasy, podzielono po bratersku na dwie równe części. Harry znikł następnie w przyległej sali, a gdy wieczorem muzeum zamykano, żadnemu z dozorców nie wpadło nawet na myśl, że dwie osoby gmachu nie opuściły.

Harremu i Tuanowi powiodło się, zupełnie niepostrzeżenie dostać się do obranych przez się schowków.

Zachowanie największej ostrożności i zupełne nie dawanie znaku życia wzajemnie o sobie, zo-

stało między nimi wprzód umówione. Łatwo bowiem mogło zdarzyć się, że i złodzieje mogli w podobny sposób wybrać sobie kryjówki.

O ile Tuan, w szeroko fałdzistym stroju wojownika japońskiego, znalazł dość wygodne umieszczenie, to Harry, całą noc musiał w kryjówce swej — staro-angielskiej zbroi rycerskiej — stać prosto bez ruchu.

Noc upływała godzina po godzinie, a obszerną salę muzeum zalewała martwa cisza.

Już szarzał ranek, gdy nagle do sali, strzeżonej przez Harrego, wsunęło się bez szmeru trzech mężczyzn. Z pewności zachowania się i swobody ich ruchów można było łatwo odgadnąć, że przybysze ci nie po raz pierwszy tutaj się znajdują.

— Czy tylko wiesz dokładnie, gdzie znajdują się rzeczy, wybrane na dzisiaj przez lorda?

Pytanie to wyszło szeptem z ust największego z przybyłych, a skierowane było do jednego z jego towarzyszy.

— Nie kłopocz się o to, Billu! Sir William jak zawsze tak i na dziś, dokładnie mi napisał, co mamy brać i gdzie to znajdziemy. Chodźcie tylko a będzie —

Gwałtowne kichnięcie, jakie nagle z jednej z rycerskich zbroi dało się słyszeć, wstrzymało momentalnie kroki trzech zbrodniarzy, okrywając ich lica bladością. W tej samej jednak chwili rzucili się na podejrzanego rycerza, który zdawał się być tak silnie zakatarzonym.

Kilka zręcznych chwytów, a zaskoczony niespodziewanie Harry, był w rękach zbrodniarzy.

— Czyż nie miałem racyi, mówiąc lordowi, iż ten przeklęty pies, Szerlok Holmes, znajduje się na naszym tropie! Wszyscy nie chcieliście dać mi wiary, a teraz macie już widoczne tego dowody przed sobą.

Harry, owładnięty śmiertelnem znużeniem, w kryjówce swej zasnął; ocknąwszy się na szmer przybyłych zbrodniarzy, mimowoli, z powodu kurzu który mu się wewnątrz figury dostał do nosa, kichnął.

Teraz próbował on szukać ocalenia w ucieczce! Śmiały skok w bok i w największym pędzie ruszy do przyległej sali, gdzie znajdował się w ukryciu Tuan. Harry pragnął uzyskać wolność i ostrzedz towarzysza.

Oba postanowienia zawiodły.

Długiem a męczącem staniem w ukryciu zmartwiałe nogi, odmówiły młodzieńcowi posłuszeństwa. Na progu zatoczył się i upadł, a w tej chwili dosięgli go prześladowcy. W krótkim czasie leżał Harry ze skrępowanemi rękami i nogami na ziemi. Aby nie mógł wołać pomocy, zakneblowano mu usta.

— Przekleństwo! Łotr Holmes pewnie jest tu gdzie w pobliżu. Patrzmy, by stąd ujść cało, lub poszukajmy, czy niema tu gdzie patrona tego chłopca.

— Nie bądź głupcem, Langer — odparł nazwany przedtem Billem — czy sądzisz, że Holmes, będąc tu obecnym, pozwoliłby tak łatwo ubezwładnić tego ptaszka? Wielki łajdak z tego Holmesa, lecz nie jest on wcale tchórzem.

Rola tego młodego gentelmana ogranicza się tylko do szpiegowania, a potem zdaje z tego swemu mistrzowi sprawozdanie.

Tymczasem jednak będziemy umieli temu zapobiedz.

— Masz zamiar usunięcia go?

— Naturalnie, musimy sami całą tą sprawę załatwić.

— Ale gdzie i w jaki sposób?

— Słuchajcie, mam znakomity pomysł — wtrącił się teraz do rozmowy towarzyszy trzeci rzezimieszek.

— Operacye nasze mają, jak dotąd, wszelkie pozory wielkiej tajemniczości. Nikt nie przypuszcza nawet, jaką drogą do budynku tego, prawie odosobnionego, dostajemy się i jak go, obładowani łupami, opuszczamy, mimo całego łańcucha straży i posterunków.

Czyż nie byłoby to wspaniałem, gdybyśmy tajemniczą tą działalność okryli jeszcze szatą zgrozy, tak, aby na przyszłość nikt nie odważył się w nocy zapuścić w te sale?

— W jakiż sposób myślisz tego dokonać?

— Zupełnie oryginalnie.

Co powiecie na to, gdyby znaleziono tego młodzieńca, ściętego według wszelkich prawideł na gilotynie? Czy podobny efekt nie przyniósłby naszym późniejszym robotom pomyślnego skutku?

Jak wiecie znajduje się tutaj, w trzeciej sali machina, którą jeszcze śp. Kromwell polecił zbudować, gdy kat nie mógł już rękoma podołać licznym wyrokom. Cacko to oglądnąłem niedawno i przekonałem się, że cały mechanizm znajduje się w najlepszym porządku.

Tak więc mamy możność wyekspedyowania szpiega na tamten świat, na sposób dawnych, do-

brych czasów. W ten sposób uwolnimy się od wroga, a obrzydzimy należycie różnym drabom na przyszłość, pilnowanie sali.

— Jeżeli sam podejmiesz się przeprowadzenia całej roboty, to nic nie mam przeciw temu.

— Ja również, byle tylko cała ta historya nie trwała za długo.

— Bądźcie bez obawy! Zobaczycie, z jaką precyzyą i elegancyą urządzę całą paradę tracenia. Będziecie mieć miłą rozrywkę, lecz pomożecie mi cokolwiek.

Przedewszystkiem pomożecie nieco zanieść gentelmana do narożnej sali — domagał się potwór, który pierwszy podał projekt stracenia Harrego.

Wszyscy trzej uchwycili nieszczęsną, bezbronną ofiarę i nieśli ją...

Śmiertelna trwoga opanowała Harrego z chwilą gdy spostrzegł, że zbrodniarze nieodwołalnie postanowili go uśmiercić.

Naigrawając się z przerażonego młodzieńca, zbrodniarze tak zajęli się wykonaniem szatańskiego planu, iż nie zauważyli, jak mały Chińczyk wypełznął z za jakiejś figury i skradając się za nimi, dotarł aż do wejścia narożnej sali, przykucając tutaj za jakimś przedmiotem.

Złoczyńca, który z własnej ochoty objął urząd kata, wciągnął rozpaczliwie opierającego się Harrego na machinę. Tu umocował głowę młodzieńca w wyciętych otworach poprzecznych desek w ten sposób, iż ofiara leżała na plecach, mając do ostatniej chwili złowrogi topór przed oczyma.

Zakamieniały łotr ustawił teraz deski dokładnie w ten sposób, iż ostrze siekiery zawisło wprost nad szyją przywiązanego.

— Podnieś, kochany przyjacielu, brodę nieco w górę, gdyż topór mógłby ci oblicze zeszpecić. A teraz patrzcie uważnie, pociągam troszkę za tą linkę...

Zbrodniarz urwał i zataczając się w tył, patrzał oniemiały na drzwi sali. Obaj kompani poszli śladem jego wzroku i okrzyk bezgranicznego przerażenia brzmiał z ich ust.

W drzwiach stała śmierć, otoczona morzem płomieni...

ROZDZIAŁ V.

Wyrok.

Szerlok Holmes znowu miał słuszność, trafnie oceniając położenie lorda Mastona, co do którego oskarżenie zaciągło tak gęstą i subtelną sieć dowodów, iż nie było najmniejszej nadziei, by obwiniony zdołał się od zarzutów zbrodni uwolnić. Sędziowie, jak i wielka masa publiczności uważała lorda za mordercę profesora Ochterlhony i z wielką niecierpliwością i napięciem oczekiwano na oznaczony już termin rozprawy.

Rzadko kiedy miała miejsce tak liczna wędrówka tłumów do Kings Bench (najwyższy sąd karny Londynu) jak w tym dniu. Szczególnie zwracała uwagę na sali znaczna liczba arystokracyi przybyłej na rozprawę.

Kto jednak z żądnych senzacyi i wrażeń oczekiwał tutaj drastycznych i wstrząsających momentów, ten zawiódł się zupełnie. Rozprawa do samego końca nie dostarczyła żadnych żywszych sytuacyi.

Lord Maston od początku odmówił wszelkich odpowiedzi. Młody człowiek na pierwsze pytanie lorda przewodniczącego odrzekł:

— Mylordzie, poważono się powątpiewać w wiarygodność mych słów, uważam tedy za uwłaczające mej godności, zeznawać w takich warunkach. Odmawiam wszelkich dalszych zeznań, czyń pan, co należy do twego urzędu.

Po tych słowach, lord Maston spoczął na ławie oskarżonych i nic nie zdołało go poruszyć do zabrania głosu, lub jakich wyjaśnień.

Wynik rozprawy był wobec tego zadecydowany. Świetny i rzeczowy wywód prokuratora dokonał reszty. Przysięgli po krótkiej naradzie jednomyślnie zatwierdzili winę oskarżonego, a trybunał na mocy tego werdyktu wydał wyrok, skazujący lorda, jako winnego zbrodni morderstwa i rabunku, na karę śmierci.

Skazanemu pozostawała jeszcze jedyna droga — odwołania się do łaski monarszej. W myśl przepisów ustawy zapytał przewodniczący skazanego, czy ma zamiar odwołać się do łaski króla.

Głośne i energiczne: — Nie — było jedyną odpowiedzią lorda.

Wobec tego sprawa była zupełnie skończoną i w czterdziestu ośmiu godzinach, skazany miałby

zakończyć życie, gdyby w ostatniej jeszcze godzinie nie nadszedł skąd ratunek.

Duchowny, sprawujący obowiązki duszpasterza w królewskich zakładach więziennych w Kings Bench, otrzymał wieczorem w dniu, w którem zapadł ten wyrok, niespodziewaną wizytę.

— Nazwisko moje Szerlok Holmes — rzekł przybysz.

— Cóż pana do mnie sprowadza — pytał duchowny.

— Nadzwyczaj ważna sprawa, czcigodny ojcze. Rozchodzi się o przeszkodzenie morderstwu sprawiedliwości.

Duchowny podniósł się zdumiony.

— Pan mówisz słowa te z taką stanowczością, mr. Holmes.

— Ponieważ wiem z całą pewnością, iż zapadły dzisiaj na lorda Mastona wyrok, byłby mordem sprawiedliwości, gdyby go wykonano. Lord nie miał ze zbrodnią nic wspólnego.

— Ależ na miłość boską, dlaczegoż się więc nie bronił? Milczenie jego musiało przecież przedstawić się, nawet najlepiej usposobionym, jako przyznanie do winy. Czemu lord nie zeznał, gdzie znajdował się w chwili, gdy zbrodnia została dokonaną?

— Lord nie popełnił morderstwa. Uwikłał on się jednak w inną podejrzaną sprawę, której nie chce odsłonić. Powodując się uczuciem fałszywego wstydu, raczej pójdzie na śmierć, niż sprawę tą wyjawi.

Z tych względów muszę natychmiast ze skazanym pomówić. Ponieważ wzdraga on się stanowczo przyjąć kogokolwiek, prócz duchownego, w tej szacie będę się musiał do jego celi wcisnąć.

Duchowny zaraz pojął o co chodzi.

— Daj mi pan jednak słowo uczciwości, że szaty moje, które panu, mr. Holmes, pożyczę, nie będą użyte do niegodnych celów.

— Składam je, czcigodny ojcze. Wyratowanie człowieka od śmierci, choćby dobrowolnej, nie jest przecież niegodnym zamiarem.

Wielki detektyw udał się teraz z księdzem do jego ubieralni. Duchowny wyraził tu obawę, że lord mimo przebrania pozna, iż nie mówi ze swym spowiednikiem tylko z osobą obcą i cały plan może przez to nie udać się. Uwagi te przyjął Holmes z uśmiechem i wszedł do garderoby. Gdy po kilku minutach stamtąd wyszedł, kapelan więzienny nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia.

Przed nim stał jego żywy portret.

Nie tylko ubranie, lecz także cała postać smukłego detektywa przybrała zażywne i okrągłe formy czcigodnej osoby duchownej. Również i oblicze Holmesa uległo podobnej przemianie.

— Zdumienie waszej wielebności świadczy, iż maska moja nie jest najgorszą. To są już specyalności mego zawodu.

Gdy duchowny ciągle jeszcze osłupiałym wzrokiem patrząc na detektywa, stał na miejscu, Szerlok Holmes szybkim krokiem ruszył do pobliskiego więzienia i bez przeszkód wprowadzony został do celi skazanego lorda.

Lord zdawał się być uradowanym z przybycia sędziwego pocieszyciela i zaraz na wstępie złożył duchownemu podziękowanie za odwiedziny.

— Przybyłem, by pana wyratować od śmierci, lordzie Maston — rzekł Holmes, przystępując wprost do rzeczy.

— Ach, wasza wielebność, pozostawmy w spokoju ten mało wesoły temat. Jestem bez ratunku stracony, stąd nie znajduję przyjemności w rozmowie o tem.

— A ja mimo to chcę i będę o tem mówił

W czasie niesłychanego oskarżenia o morderstwo i rabunek milczałeś pan jak grób, a nikt nie wiedział dlaczego. Ja jednak znam przyczynę tego upartego milczenia.

Młody człowiek skoczył na równe nogi i zatoczył się na ścianę, jakby ugodzony potężnym ciosem.

— Na miłość boską, pan — nie jesteś — kto pan jesteś, sir? Masz na sobie wprawdzie szaty duchownego tego zakładu i jesteś doń podobnym, a jednak...

— Pozostawmy pytanie to na uboczu, a przystąpmy do rzeczy.

Pozwoliłeś się pan skazać w milczeniu, gdyż wplątałeś się w sprawę, która nie mniej lęka się światła dziennego i gdyby odkrytą została, straszna plama okryłaby imię Maston. Pan wyobrażasz sobie, że mniej haniebnem jest być skazanym za morderstwo i rabunek, niż przyznać się, że się było uczestnikiem szajki złodziejskiej.

Lordzie Maston, gdzie podziały się wszystkie dzieła sztuki, skradzione w muzeum Kensingtown? Co za złoczyńcy je skradli?

Widzisz pan, że przeniknąłem jego tajemnicę.

Jako odpowiedź, wyszeptał zaskoczony tylko jedno słowo:

— Szerlok Holmes!

— Poznałeś mnie więc, mylordzie? Zechcesz mi teraz zaufać, a przyniosę ci ocalenie, gdy mi tylko będziesz pomocnym.

— Proszę bardzo, pozostaw mnie pan w spokoju, mr. Holmes. Mnie nic już nie pomoże, gdyż ja sam tego nie chcę.

Masz pan słuszność, mania zbierania uniosła mię na drogę nieuczciwą. Śmierć z ręki kata niech będzie za to pokutą i zadośćuczynieniem. Pozwól mi pan przeto umrzeć, ja chcę tego.

— Wobec tego będę usiłował uratować pana wbrew jego woli, jakkolwiek mało pozostaje mi już na to czasu.

Smutny uśmiech lorda był na to odpowiedzią. W głębokiej zadumie powrócił Holmes do mieszkania kapelana więziennego.

— Gdybym tylko miał możność, dostać się jeszcze do opieczętowanego mieszkania zamordowanego. Z pewnością odkryłbym tam jeszcze niejedno coby mi pracę ułatwiło. Ale cóż, łatwiej wykraść królową z jej zamku, niż uzyskać pozwolenie na chwilowe zdjęcie pieczęci i zwiedzenie mieszkania. Nawet zbliżyć się do domu nie można, z powodu tych przeklętych przewodów elektrycznych.

Zbliżając się do domu duchownego, zauważył Holmes małą gromadkę ludzi, która spoglądała w górę. Spojrzawszy w tym kierunku, za miał się i pełen dobrej myśli ruszył dalej.

— Znalazłem! – szeptał uradowany, wchodząc do mieszkania księdza.

— Cóż, mr. Holmes, wskórałeś pan co u skazańca?

— Niestety u skazanego niewiele, lecz za to w powrocie tutaj, wskazano mi wreszcie drogę, którą dojdę do celu, choćby wbrew woli lorda.

— I któż to wskazał panu tą drogę?

— Kto? Trzej robotnicy urzędu telefonicznego, wasza wielebność.

Widząc zdumiony wzrok duchownego, rzekł Holmes:

— Daruj czcigodny ojcze, lecz opowiem ci to kiedyindziej. Wiesz, że czas nagli; w czterdziestu ośmiu godzinach po wyroku, według naszych ustaw zabiera głos kat. Znaczna część tego czasu już upłynęła, muszę więc spieszyć. Do zobaczenia!

ROZDZIAŁ VI.

Przerażające odkrycie.

Straż pożarna pędziła z ogłuszającym łoskotem ulicami Londynu, a w ślad za nią gnały coraz więcej rosnące tłumy ciekawych.

— Muzeum Kensingtown stoi w płomieniach.

Słowa te brzmiały z ust do ust wśród tłumów, towarzyszących straży. Gdy pierwsi zbliżyli się do muzeum, spostrzeżono, iż pogłoska była smutną rzeczywistością. Z okien pierwszego piętra wydobywały się olbrzymie słupy dymu.

Strażakom, przeciskającym się w gmachu do ogniska pożaru, stanął przed oczyma obraz nie do zapomnienia. W sali, w której ogień wybuchł, znajdowała się wśród innych osobliwości i zabytków także i gilotyna, pochodząca z czasów Cromwella. Na desce tej machiny śmierci, z głową tuż pod ruchomym toporem leżał młody człowiek, a u boku jego Chińczyk krzątał się pilnie, by oswobodzić ofiarę z krępujących ją więzów. Malec, zalany łzami i widocznie wstrząśnięty trwogą chwiał się na nogach.

Nie było wiele czasu na pytania, gdyż jak strażacy spostrzegli, zarówno leżący na desce, jak i mały Chińczyk, od dymu byli już prawie zupełnie oszołomieni. Uwolniono szybko młodego człowieka i zajęto się gaszeniem ognia.

To powiodło się ponad wszelkie oczekiwania szybko. Objęte ogniem przedmioty, więcej sprawiały dymu, niż płomieni i wkrótce pod strumieniami wody przestały się tlić.

W czasie, gdy na górze gaszono ogień, w pokoju zarządu muzeum na dole, poddano badaniom znalezionego na miejscu pożaru Chińczyka.

Bełkotanie malca było jednak dla przesłuchujących go panów zupełnie niezrozumiałe. Jedno tylko nazwisko brzmiało w ustach jego wyraźnie:

— Szerlok Holmes.

— Zdaje mi się, panie kolego — rzekł jeden z oficerów straży — że tego skośnookiego malca, jak niemniej i tego omdlałego młodzieńca widziałem już w towarzystwie detektywa Holmesa. Wezwijcie więc tego gentelmana!

W krótkim czasie przybył na miejsce na rowerze wiekli detektyw i Tuan z lepszym już teraz skutkiem, opowiedział swe przygody.

Łamaną angielszczyzną kończył on swe wywody:

— Tuan nie wiedzieć, jak inaczej ratować, podpalił portyery i przysunąć kościotrupa do drzwi sali. Trzej mężczyźni z głośnym krzykiem uciekli. Tuan chciał jednak mr. Taksona oswobodzić, ale szło mu to bardzo trudno; musiał bardzo kaszleć.

— I nie widziałeś, Tuan, gdzie ci trzej łotrzy pozostali – pytał Szerlok Holmes.

Malec wskazał na drzwi, które znajdowały się na drugim końcu sali.

— Tędy uciekli.

Drzwiami temi wychodziło się na schody, które wiodły na dach muzeum.

— Jeżeli złoczyńcy tędy wymknęli się, to mają wszelki odwrót odcięty — rzekł oficer straży.— Może są oni jeszcze na górze.

Wszyscy pospieszyli na dach. Zbrodniarzy tu nie było ani śladu i oficer zauważył:

— Mały gentelman pewnie pomylił się.

— Tuan nie pomylił się, moi panowie. Zbrodniarze rzeczywiście byli tu na górze.

Tymczasem nadbiegli urzędnicy muzeum, policya i wszyscy, słysząc te słowa spoglądali ze zdziwieniem na Holmesa i na inspektora mr. Gordona, oczekując bliższych wyjaśnień. Inspektor Mc. Gordon rzucił pod adresem wielkiego detektywa ironiczną wagę:

— Gentelmani ci mieli pewnie do dyspozycyi maszynę do latania i przy jej pomocy dach opuścili.

— Więc innej drogi już pan nie widzisz, inspektorze?

— Hm! — Pozostawałby jeszcze skok w dół, ale sądzę, że ten, ktoby tego rodzaju zejścia z dachu spróbował, jużby się więcej nie podniósł z granitowego bruku na dole.

A czy pan widzisz, mr. Holmes, jakie inne, możliwe stąd wyjście?

— Może! Wiadomość ta jest jednak na razie tylko mnie samemu potrzebną. Żegnam panów!

Gdy Szerlok Holmes wrócił do sali, Harry odzyskał już przytomność.

Wkrótce przywiózł wielki detektyw obu swych pomocników dorożką na Bakerstreet.

Na dachu muzeum pozostał inspektor Gordon, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem zagadkowych słów Holmesa.

Ostatnia noc przed straceniem nadeszła. Szerlok Holmes stał w pracowni swej gotów do wyjścia. Tak mistrz, jak i obaj jego pomocnicy Harry i Tuan, mieli na sobie strój i instrumenta miejskich robotników telefonicznych.

— Znacie więc instrukcye moje dokładnie? Wiecie, że wszystko zawisłem jest od tej ostatniej próby. Więc trzymać się ściśle mych rozkazów!

— Ależ mistrzu, ja jestem znacznie lżejszym od ciebie, dlaczegóż nie mam iść pierwszy?

Szerlok Holmes poklepał ucznia swego po ramieniu.

— Jesteś dzielnym chłopcem, Harry, lecz, jeśli rozchodzi się o tak ryzykowne przedsięwzięcie, nie możesz wymagać odemnie, bym cię poświęcał, jak królika, na niebezpieczne doświadczenia. Zresztą widziałem, jak drogę tą odbywali robotnicy telefoniczni. Sądzę, że co oni potrafią nie będzie i dla mnie niedostępnem, tem więcej, gdy jest to jedynym środkiem, dla uratowania życia ludzkiego.

— Spodziewasz się więc, mistrzu, na pewno znaleźć w willi profesora dowody niewinności lorda Mastona?

— Mam nadzieję odkryć tam dowody innej nieco natury, a mianowicie pewnego przestępstwa lorda, a zarazem i winy zamordowanego; będzie to zarazem świadectwem, że lord ze zbrodnią niema nic wspólnego.

— Sądzisz więc rzeczywiście, że lord Maston i profesor byli — — —

— Wynajemcami złodzieji muzealnych i zarazem odbiorcami skradzionych przez złoczyńców dzieł sztuki. Tak w istocie, jestem mocno przekonany, że w willi zamordowanego znajdę dowody mych przypuszczeń.

— Uważasz mistrzu za prawdopodobne, że zbrodniarze szli tą drogą do muzeum, którą my obecnie obraliśmy, chcąc dostać się do szczelnie zamkniętej i strzeżonej willi?

— Ta tylko jedynie droga była dla łotrów dostępną. — Na teraz dość już jednak tych słów. Nie mamy czasu do stracenia. Chodźmy!

Naprzeciw willi Ochterlhony, która, jak wiadomo, leży w środku parku, ciągnie się szereg domów ulicy South Eastern. Z dachu narożnego domu tej ulicy przechodzi znaczna liczba drutów telefonicznych na dach willi, gdzie umocowany jest żelazny stojak z porcelanowemi trzymadłami drutów. Druty, wsparte i umocowane na stojaku, biegną następnie w dalszym kierunku poza willę.

Poniżej tych drutów przeprowadzoną jest sieć druciasta, mająca na celu zapobiedz spadaniu zerwanych drutów na ulicę.

Szerlok Holmes, wracając z więzienia do mieszkania duchownego widział właśnie, jak jeden z robotników, zachowując niezwykłą ostrożność, wszedł na taką siatkę i trzymając się rękoma, zabezpieczonymi gumowemi rękawicami, drutów przewodowych, przechodził po chwiejnym tym pomoście do najbliższego domu. Widok ten podziałał na detektywa, jak promień światła w ciemnościach. Teraz wiedział już dobrze, jaką drogą złodzieje dostawali się do muzeum, a zarazem droga ta nadawała się jedynie do wejścia, do pilnie strzeżonej willi.

Na dachu narożnego domu podniosła się od wewnątrz klapa i na dach weszli trzej ludzie, drapiąc się ku żelaznemu stojakowi, dźwigającemu sieć drutów telefonicznych.

Gdy do stojaka dotarli, raz jeszcze próbował Harry nakłonić mistrza, by go puścił najpierw na niebezpieczną drogę; Holmes sprzeciwił się jednak temu stanowczo.

— Pójdę sam, a ty pójdziesz za mną dopiero wówczas, gdy dam ci znak; zrozumiałeś?

Zanim jeszcze Harry zdołał dać odpowiedź, detektyw wstąpił już na śmiercionośny pomost. Nigdy jeszcze nie doznał Harry tylu udręczeń duszy, nawet wtedy, gdy ogarnięty śmiertelną trwogą, leżał pod ostrzem toporu gilotyny, co teraz, gdy z zapartym oddechem śledził poruszenia swego ukochanego i uwielbianego mistrza, wątłą i cienką jedynie siatką drucianą, odgraniczonego od strasznej, a niechybnej śmierci.

Nagle usłyszał za sobą rozdzierający płacz. To mały Tuan zanosił się płaczem w śmiertelnej trwodze o swego drogiego pana.

Harry, odwróciwszy się do Tuana, stracił mistrza z oczu na kilka sekund. Teraz, gdy znowu zwrócił wzrok na pomost, ten był już pusty; Szerloka Holmesa nie było już zupełnie widać.

Pragnął wydać okrzyk zgrozy, lecz głos zamarł mu w ściśniętej krtani.

Monotonie zabrzmiał na podwórzu więziennym w New Gate głos dzwonu; urywany, głuchy ton, jęczał posępnie w powietrzu.

To dzwon rozstających się ze światem grzeszników, „dzwon umarłych"; towarzyszy on na śmierć skazanym w ich ostatniej wędrówce.

W jednym kącie wielkiego, pustego dziedzińca więziennego stoi wzniesiona szubienica. Dwa słupy pionowe w ziemię wbite, połączone u góry poprzeczną belką, zaopatrzoną w środku żelaznym pierścieniem, z którego zwisa stryczek, zakończony u dołu pętlą — to całe urządzenie, służące do wyprawienia człowieka na łono śmierci.

W połowie wysokości słupów pionowych wznosi się małe rusztowanie, miejsce, wystarczające jedynie na pomieszczenie kata i jego ofiary. Na rusztowanie to prowadzi wązka drabinka.

Wieżowy zegar więziennego kościoła zwiastuje szóstą godzinę z rana, a z ostatniem uderzeniem dzwonu otwiera się w podwórzu jedna z bram.

Jakiś orszak wstępuje na podwórze i zbliża się do szubienicy.

W górze jęczy ponuro „dzwon umarłych".

Na czele orszaku postępują sędziowie w swych urzędowych strojach: w togach o wielkich, białych, sztywnych kołnierzach i z olbrzymiemi perukami na głowach, za nimi kroczy kat z dwoma swymi pomocnikami, a następnie lord Maston w towarzystwie duchownego. Pochód zamyka kilku dozorców i urzędników więziennych.

U podnóża szubienicy sędziowie rozstępują się na lewo i prawo, a przewodniczący trybunału woła kata i zapytuje go:

— Kacie Londynu, chceszli wobec tego biednego grzesznika spełnić obowiązek należnego mu prawa?

— O ile jest to dlań prawem, tak!

— To się już stało!

— Wobec tego jestem gotów za wynagrodzeniem i na waszą odpowiedzialność, dopełnić mego urzędu.

— Jakiego żądacie wynagrodzenia?

— Zapłaćcie mi wedle prawa i zwyczaju.

— Zapłacę wam; a teraz pełnijcie swój urząd. (Skreślona tu scena, oddaną jest wiernie według rzeczywistości).

Kat, wcale jeszcze młody mężczyzna, nie posiadający w powierzchowności swej nic odpychającego, zupełnie nie wyglądał na straszną istotę, jak to częstokroć w bujnej fantazyi, kata krwawo malują.

Położył on rękę na ramieniu skazanego i rzekł doń uprzejmym tonem, który tutaj śmiało mógł zakrawać na gorzką ironię:

— Czy mogę waszą lordowską mość prosić o wyruszenie naprzód?

Lord Maston pożegnał się ze spowiednikiem Ten klęknął na ziemi i na głos począł odmawiać modlitwy. Skazany począł teraz bez ociągania się wstępować na stopnie drabiny; tuż za nim podążał kat i wkrótce stali na wązkim rusztowaniu

Kat wyciągnął z kieszeni czarny kaptur i zarzucił go na głowę skazańca, związawszy mu poprzednio ręce na plecach. Następnie ujął złowrogą pętlę i zamierzał właśnie zarzucić ją na zakrytą głowę, oddanej śmierci ofiary, gdy wtem brama, którą orszak wszedł przedtem na podwórze więzienne, otwarła się gwałtownie i na dziedziniec wpadł jakiś człowiek, w szalonym pędzie dążąc do miejsca stracenia.

— Stójcie! Skazany jest niewinny! Ja odkryłem prawdziwego mordercę.

Wrażenie słów tych było nie do opisania.

Kat wypuścił z rąk fatalną pętlę i zdumiony, pełnym oczekiwania wzrokiem, patrzył na nadbiegającego bez tchu Szerloka Holmesa.

Lord przewodniczący podniósł się, skinął na kata, by się wstrzymał a następnie zwrócił się do znanego sobie detektywa:

— Pan, jak zwykle, sprawiasz nam niespodzianki, mistrzu, imię pańskie jednak jest dla nas rękojmią, że jesteś pan uprawniony do tego niezwykłego wystąpienia.

Zwróciwszy się do kata, wydał mu rozkaz:

— Przerwij pan urzędowe czynności i weź skazanego w swą pieczę. Za bezpieczeństwo jego czynię pana odpowiedzialnym!

Po krótkiej naradzie z innymi sędziami, lord przewodniczący rzekł do Szerloka Holmesa:

— Niech pan zechce teraz najuprzejmiej poinformować nas, jakie to fakta, dowodzące niewinności delikwenta, zostały przez pana odkryte?

Myśl, iż znajdowaliśmy się bezpośrednio tuż przed wykonaniem mordu sprawiedliwości, jest tak straszną, że natychmiast, tu na miejscu muszę domagać się przedstawienia nam wszystkich dowodów, którymi pan rozporządza, a które skłoniły pana do zakwestyonowania wyroku. Proszę tedy bardzo zdać nam najszczegółowiej sprawę, co pański bystry umysł i talent śledczy wydobył z ciemności na światło dzienne. Oczekuję wyjaśnień tych w największem napięciu!

— Powtarzam — począł wielki detektyw z wyniosłą postawą i ogniem w oczach.

— Lord Maston nie jest mordercą profesora Ochterlhony. Ja mogę dowieść jego niewinności, a nawet mogę waszej lordowskiej mości wskazać rzeczywistego mordercę profesora.

— A gdzież znajduje się ten domniemany, istotny morderca, mr. Holmes?

— W willi zamordowanego, wasza lordowska mość.

Lord przewodniczący spojrzał na detektywa, jakby wątpił w jego zdrowy rozsądek i zapytał:

— Gdzie, powiadasz pan, ma się znajdować istotny morderca?

— W willi zamordowanego, wasza lordowska mość.

— Ależ sir, ta willa jest dzień i noc strzeżoną. Jakżeż zbrodniarz mógłby był dostać się do willi, nie wprawiając w ruch, chociażby jeden z licznych aparatów alarmujących? Od jakiego czasu wreszcie ma morderca ukrywać się w willi?

— On wogóle jej jeszcze nie opuszczał po dokonanym czynie, wasza lordowska mość. Najlepiej jednak dowiesz się mylordzie tego wszystkiego na miejscu. Teraz proszę pilnie, aby wasza lordowska mość raczyła bez zwłoki wydać rozkaz otwarcia, opieczętowanego przez sąd domu, abym mógł udowodnić niezbicie prawdziwość mych twierdzeń. Morderca bowiem znajduje się tam w istocie.

— Wydam natychmiast polecenie usunięcia pieczęci i zaraz będziemy mogli przekonać się, czy pańskie wywody zgodne są z prawdą — odparł lord przewodniczący, słuchając z rosnącem napięciem słów Szerloka Holmesa.

— Oddaję się zupełnie do dyspozycyi waszej lordowskiej mości.

Powóz, który przywiózł lorda przewodniczącego i innych sędziów do gmachu więzień, gnał teraz w najszybszem tempie, najpierw do Kings Bench. Tu przybrano kilku niższych urzędników sądowych, poczem ruszono pospiesznie na South Eastern do willi zamordowanego profesora Ochterlhony.

Trybunał stwierdził tu najpierw dokładnie całość pieczęci. Wszystkie były one zupełnie nienaruszone. Teraz, polecił lord przewodniczący otworzyć wejście w obręb willi.

Z całą skrupulatnością poddano najpierw badaniom aparaty elektryczne, zamykające pierścieniem sieci przewodów, wstęp do willi. Te okazały się w całym komplecie zupełnie nienaruszone; nikt nie mógł, ani wejść, ani opuścić willi od chwili jej opieczętowania. Gdy i to niezbicie zostało stwierdzonem, wyłączono przewody elektryczne i dostęp do willi był wolnym.

Również i na drzwiach domu zbadano pieczęci; wszystkie były nietknięte. Brama domu otwarła się i wszyscy, wyprzedzani przez Holmesa i przewodniczącego weszli do wnętrza willi.

Już w sieni uderzyła urzędników wstrętna woń, której nikt nie umiał sobie wytłómaczyć. Im wychodzili wyżej, smród stawał się silniejszym.

— Gdybym nie wiedział dokładnie, że zamordowany został już pogrzebany, przypuszczałbym, że zmarły leży tu jeszcze na miejscu, zupełnie zapomniany. To niewątpliwie woń zgnilizny i rozkładu trupa zatruwa tutaj powietrze.

— Wasza lordowska mość ma zupełną słuszność — odparł Szerlok Holmes, wstępując na schody tuż za najstarszym sędzią — jest to woń, pochodząca z rozkładu ciała pewnego zmarłego, który w domu tym już od tygodni leży niepogrzebiony. To morderca profesora Ochterlhony.

Detektyw pchnął drzwi pokoju, leżącego wprost naprzeciw schodów i wymijając lorda przewodniczącego, skoczył do wnętrza. Tu pospieszył do szczelnie pozamykanych okien i otwarł je na oścież, wpuszczając strumienie świeżego powietrza do zatrutych smrodem przestrzeni.

Sędziowie i urzędnicy weszli do sali. Przed nimi spoczywał na tronie krwawy bóg Meksykańczyków, Iclipucli i szczerząc zęby w potwornym uśmiechu, spoglądał łakomie na przybyłych. Przednia strona statuy i trzy wężowate miecze bożka pokryte były czarnemi plamami, zaschłej krwi zamordowanego.

Z lewej i prawej strony bożka stały olbrzymie wazy.

Urzędnicy przeszukali wszystkie kąty i zakamarki sali, nię znaleźli jednak nic, coby wytłómaczyć mogło zabójczą woń.

Straszny ten zapach wskazuje, iż tutaj musi znajdować się trup, gdzie może jednak to ciało leżeć, nie mam pojęcia — rzekł lord przewodniczący do mistrza.

— Zmarły znajduje się jeszcze w pokoju, wasza lordowskę mość — odparł Szerlok Holmes.

— Ależ to jest prawie, że wykluczone, przeszukaliśmy przecież każden kąt. Byłaby jeszcze jedna ewentualność. Może ciało znajduje się wewnątrz tej figury.

Lord przystąpił blizko do boga krwi, jakby zamierzał wcisnąć się do wnętrza figury.

— We wnętrzu bożka niema trupa, wasza lordowska mość. Jak dowiedziałem się od urzędników ze Scotland-Yardu, figura ta, zarówno jak i cały pokój został dokładnie przeszukany. Gdyby morderca schronił był się do figury, byłby został niewątpliwie odkrytym.

— Gdzież tedy ma się znajdować trup.

— Gdzie? — Szerlok Holmes przystąpił do jednej z dwóch waz i wskazując na tą, rzekł stanowczym głosem:

— W jednej z tych waz znajdzie wasza lordowska mość trupa, a w nim właściwego mordercę profesora.

Szerlok Holmes mógł tak samo dobrze powiedzieć: ciało zmarłego tkwi w wazie, stojącej po prawej stronie, gdyż wiedział to dokładnie. Nie chciał on jednak zdradzić się, jaką drogą zdołał tajemnicę tą odkryć.

Detektyw bawił bowiem zaledwie przed kilku godzinami w pokoju zbrodni i ten po krótkim czasie nie miał dlań już żadnych tajemnic.

Podczas, gdy Harry, zajęty szlochającym Tuanem, nie uważał na mistrza, ten, posuwając się po chwiejnym moście, przebył wreszcie straszną drogę i bez przeszkody dotarł do dachu willi.

Tutaj wcale nie zabezpieczył profesor dostępu elektrycznymi przewodami i aparatami bezpieczeństwa, to też wejście do wnętrza domu nie przedstawiało dla Holmesa żadnych większych trudności.

Fatalna woń, jaka detektywa uderzyła zaraz po wejściu do środka willi, szybko skierowała go również na miejsce zbrodni.

Wkrótce odkrył Holmes trupa. Teraz nie trwało już długo, a cały dramat, jaki rozegrał się u stóp bożka krwi Iclipucli, nie przedstawiał prawie żadnej tajemnicy dla duszy tego genialnego człowieka.

Lord Maston był zupełnie niewinnym zarzuconej mu zbrodni.

Gdyby był poniósł śmierć, odcierpiałby karę za innego, którego już straszna kara spotkała.

Nie było teraz ni sekundy czasu do stracenia, aby na czas przeszkodzić pomyłce sprawiedliwości.

Również i odwrót po drucianej sieci powiódł się i z okrzykami radości witali obaj uczniowie, powracającego zdrowo i cało mistrza.

Ubranie robotnika zrzucił Holmes jeszcze na dachu a następnie dorożką popędził, co koń wyskoczy do więzienia, by w ostatniej jeszcze minucie przeszkodzić straceniu niewinnego.

Na rozkaz lorda przewodniczącego obalono i złożono obie po kolei wazy na ziemię.

W drugiej wazie znajdowały się zwłoki jakiegoś człowieka.

— W jaki sposób zdołał ten człowiek wejść do wazy? — pytał lord przewodniczący.

Szerlok Holmes, który wpełznął do wazy, gdy z niej wyjęto trupa, ukazał się teraz z powrotem. Niósł on w ręce długi sztylet, którego klinga pokrytą była zupełnie podobnemi ciemno-brunatnemi plamami, co przód figury i miecze bożka krwi.

Detektyw słyszał pytanie lorda przewodniczącego.

— Sądzę, że i na to będę mógł waszej lordowskiej mości dać odpowiedź.

Wnioskując z resztek ubrania i tej flaszki z wódki, którą znalazłem we wazie, zmarły należał do klasy robotniczej. Nie omylę się pewnie, przypuszczając, że człowiek ten był jednym z robotników, którzy właśnie u profesora zatrudnieni byli przy przeistoczeniu tej sali.

Prawdopodobnie już wówczas, na widok tylu nagromadzonych tutaj kosztowności, powziął on zamiar włamania się do willi przy pierwszej sposobności.

Musiał jednak dowiedzieć się później, w jak wspaniały sposób zabezpieczył się profesor przed włamywaczami i plan włamania upadł.

U spedytora, do którego polecił profesor bożka na pewien czas przenieść, miał człowiek ten sposobność posąg oglądnąć z bliska. Zauważył, że statua była wydrążoną i natychmiast zbrodniczy jego umysł powziął genialny plan, dostania się do mieszkania profesora przy pomocy bożka.

Ukrywszy się we wnętrzu figury, pozwolił człowiek ten zanieść się do willi swym towarzyszom, którzy zupełnie tego nie przeczuwali. Przez otwory ust i oczu mógł on doskonale obserwować wszystko, co się w sali działo.

Dopokąd statua znajdowała się na ziemi, nie mógł on bezwarunkowo opuścić dobrowolnie obranego więzienia, gdyż, jak panowie widzicie, klapa wchodowa znajduje się na spodzie figury.

Dopiero po uroczystości instalacyi bożka, gdy figurę postawiono na jej obecnej podstawie, zdołał zbrodniarz kryjówkę swą opuścić i zaraz bez zwłoki rozpoczął grabież. W czasie tego, nie będąc zupełnie obznajomionym z systemem aparatów bezpieczeństwa, musiał niewątpliwie naruszyć elektryczny przyrząd alarmowy. Profesor, zbudzony alarmem, zeszedł na dół.

Wówczas to, morderstwo zostało dokonanem.

Po dokonanym czynie morderca musiał zupełnie stracić głowę i wówczas to pewnie, mimowoli wprawił znowu w ruch aparat, alarmujący Scotland Yard.

Usiłując czemprędzej dom opuścić, wkrótce poznał, iż ucieczka jest stąd wprost niemożliwą, wobec zamykających willę przewodów elektrycznych. Teraz usłyszał gwałtowne dzwonienie urzędników policyjnych, nadbiegających do willi na sygnał alarmowy. Przerażenie opanowało złoczyńcę całkowicie.

Szukając gorączkowo za jakiemś pewnem miejscem schronienia, wpadł ostatecznie na tę wazę.

Trwoga przed śmiercią z ręki kata dodała zbrodniarzowi sił i zręczności do dostania się do wazy, co w normalnych warunkach, bez obcej pomocy przedstawia się, jako rzecz niezwykle trudna, prawie niemożliwa.

O ile dostanie się do wnętrza wazy było sprawą niezwykle trudną, to o wyjściu napowrót nie było mowy.

Waza jest znacznie wyższą, aniżeli wzrost rosłego mężczyzny, a górny jej obwód jest daleko na zewnątrz wygięty. Nikt, nawet najlepszy gimnastyk, nie jest w stanie wydrapać się z wnętrza wazy do góry, po jej zupełnie gładkich ścianach. Zbrodniarz skazał się w ten sposób sam na straszną śmierć.

Początkowo, z pewnością nie przyszło mu zupełnie na myśl, iż znajduje się w grobie, z którego niema absolutnie wyjścia. Obawa przed odkryciem w tej kryjówce, odsunęła zrazu wszystkie inne myśli na bok.

Skoro zaś spostrzegł wreszcie, w jak beznadziejnem położeniu się znajduje, wówczas było już za późno. Dom był już pusty i sądownie opieczętowany. Nikt nie mógł już słyszeć rozdzierającego krzyku uwięzionego, ani ostatnich jęków, ginącego z głodu i pragnienia; morderca sam się osądził.

Szerlok Holmes umilkł, a wszyscy byli przekonani o prawdziwości słów mistrza.

— Niema już wątpliwości, mr. Holmes, że pański genialny umysł wyświetlił w zupełności straszną tą zbrodnię, a zarazem ustrzegł sprawiedliwość przed wykonaniem wyroku, na niewinnie na śmierć skazanym. Przyjm pan za to naszą podziękę!

O odkryciu, jakiego detektyw w międzyczasie dokonał w mieszkaniu lorda Mastona, znajdując tam, w ukrytem miejscu rozmaite pochodzące z kradzieży w muzeum Kensingtown kosztowności, na razie zamilczał. Uczucie tryumfu rozpierało jednak piersi mistrza, gdyż zdołał wreszcie odkryć miej-

sce, gdzie skradzione osobliwości zapodziewały się. Sprawą tą postanowił zająć się nieco później. —

Lord Maston został tymczasem natychmiast z więzienia uwolniony i zajął się teraz wykonaniem planu, który niestety zakończył sprawę krwawym epilogiem.

ROZDZIAŁ VII.

Pokuta.

Lord Maston wrócił już do swego domu, ale przyjaciele, którzy przybyli, by mu złożyć gratulacye z powodu szczęśliwego ocalenia, zastali drzwi mieszkania zamknięte.

Służba zawiadamiała gości, że jego lordowska mość Londyn opuścił.

Był to jednak tylko prosty wybieg, nakazany służącym. Młody lord siedział w swej pracowni i wsparłszy głowę na rękach, pogrążony był w ponurej zadumie. Zdawał on się nie odczuwać najmniejszej radości z powodu swego ocalenia. Młody człowiek był, jakby ze strasznego snu zbudzony. Snem również wydawała mu się teraz szalona mania zbierania, która zdołała go nawet spowodować do zainicyowania szeregu zbrodni. Wszystkie kosztowności, jakie nagromadził w swym domu, obecnie były dlań zupełnie bezwartościowemi zabawkami. Nie mógł pojąć, jak mógł na zdobycie tych cacek, łożyć tak niezmierzone ceny, a co więcej, narażać swą cześć i spokój sumienia.

Wieczorem opuścił lord mieszkanie. Celem jego wędrówki był dom niejakiego lorda Williama Dansmoore, również nader bogatego człowieka, który w całej Anglii słynął jako zbieracz i miłośnik zabytków.

— Ach, patrzcie, to kochany lord!

— Lordzie Williamie, przybywam do pan z gwałtowną prośbą.

— Wiesz pan, że co tylko w mej mocy, chętnie dla pana uczynię. Cóż to takiego?

— Postanowiłem, wszystkie te przedmioty, które z mego polecenia w muzeum Kesingtown skradziono, zwrócić tam napowrót. Aby módz wprowadzić to w czyn, potrzebuję koniecznie pańskiej pomocy i błagam o nią.

— Będzie to bardzo trudna, a nawet może niewykonalna sprawa. Sam chyba nie będziesz miał ochoty do zajęcia się rozwiązaniem tej kwestyi, a trzej wiadomi hultaje nie chcą absolutnie dać się poruszyć do jakiegokolwiek czynu, od czasu ostatniej ich przygody z pomocnikami detektywa. Wiesz pan, że chciałem jeszcze koniecznie kazać sobie przynieść całą seryę figurek Celliniego, otóż wszystkie moje dotychczasowe propozycye spotkały się ze stanowczą odmową.

— Daj mi pan adres i jakie upoważnienie do tych ludzi. Chcę z nimi sam pomówić.

— Uczynię to z ochotą, jednak sądzę z całą pewnością, że wszystkie pańskie zabiegi pozostaną bezowocne.

Około północy, lord zmieniony o ile możności brudnem i podartem odzieniem nie do poznania, wchodził do nader podejrzanej knajpy w dzielnicy Soho (najniebezpieczniejsza dzielnica zbrodniarzy w Londynie) i zapytał gospodarza o niejakiego Billa Chasnera.

Wkrótce potem siedział lord w oddzielnej izdebce knajpy razem z rzezimieszkiem, tym właśnie, który w muzeum chciał Taksona zgilotynować i przedstawiał mu przyczynę swego przybycia, oraz wysokość wynagrodzenia, jakie był gotów ofiarować za spełnienie swego żądania. — Bill Chasner przysłuchiwał się słowom przebranego lorda nie przerywając mu, potem rzekł jednak:

— Pańska propozycya jest bardzo nęcąca, mylordzie. Ale choćbyś nam pan w trójnasób więcej jeszcze ofiarowywał, ofertę pańską jesteśmy zmuszeni odrzucić. Gdyśmy uciekali na łeb na szyję z muzeum, przysięgliśmy wówczas nigdy już tej drogi nie odbywać, a takiej przysięgi zwykliśmy dochowywać.

Lord Maston spostrzegł, że w żaden sposób nie zdoła odwieść przywódcy złodziei muzealnych od powziętego postanowienia, zapytał przeto, jaką drogą dostawali się do muzeum i opuszczali je.

Wysoka i z góry wypłacona suma otworzyła wreszcie usta Billa Chasnera i skłoniła go do wydania tajemnicy lordowi. Lord Maston opuścił teraz szynkownię i dzielnicę zbrodniarzy.—

Na dachu muzeum, w ukryciu za balustradami czatował od kilku godzin inspektor Mc. Gordon, ze swoimi czterema ludźmi, aby tajemniczych złodziei dostać raz wreszcie w swe ręce.

— Sądzisz pan w istocie, panie inspektorze, że mógłby znaleźć się podobny szaleniec, któryby po

słabej tej siatce drucianej odważył się tutaj przybyć? — zapytał z niedowierzaniem jeden z urzędników.

— Nietylko w to wierzę, ale wiem to z całą pewnością, że złodzieje mieli tylko tą jedynie drogę do dyspozycyi. Z tego też powodu nie można ich było ująć, jakkolwiek cały budynek otoczony był konstablami.

Któż mógłby był wpaść na ten szalony pomysł? Tylko Szerlok Holmes mógł to odkryć swym genialnym talentem śledczym, którego każdy kryminalista może mu pozazdrościć.

W tej samej chwili rzucił się jeden z urzędników z okrzykiem przerażenia na krawędź dachu i wyciągnąwszy rękę wskazał na coś w oddali.

W najbliższym momencie rozległ się rozdzierający okrzyk w cieniach nocy, poczem dał się słyszeć głuchy łoskot, ze znacznej wysokości spadającego ciała ludzkiego na bruk uliczny.

— Cóżto takiego się stało? — zapytał inspektor, Mc. Gordon.

— Stamtąd posuwał się po drutach jakiś człowiek i runął na dół — odpowiedział urzędnik, który pierwszy wypadek ten zauważył. — —

Gdy konstable przybyli na plac, otaczający gmach muzealny, znaleźli tutaj zmiażdżone do niepoznania ciało ludzkie, w którem później rozpoznano młodego lorda Mastona.

O ile wypadek ten był niewytłumaczony, to sprawa stała się jeszcze bardziej tajemniczą, gdy w kieszeniach zabitego znaleziono rozmaite kosztowności, które jeszcze przed kilku miesiącami zostały w muzeum skradzione. Fakt ten pozostał dla wszystkich zupełnie niewyjaśnionym.

Gdy Szerlok Holmes otrzymał wiadomość o wypadku, natychmiast wszystko zrozumiał, zachował jednak w tajemnicy swe wiadomości i przemilczał także o odkryciu, jakiego w domu Mastona dokonał.

— Śmierć, to najzupełniejsze okupienie winy. Młody lord odpokutował chwilowe swe zaślepienie, rzeczywiście okropnie i krwawo.

Pamięć jego niech przeto będzie wolną od wszelkiej hańby.

KONIEC.

3) FELJETON.

Albańska krew.

— To jest narzeczony pani który idzie dla zmiany warty — zauważyłem. — Odwagi! Jeszcze niema nic straconego, a wiele jeszcze można zyskać. Niech pani panuje trochę nad sobą. Proszę się uspokoić, bo grozi nam ze wszystkich stron niebezpieczeństwo, którego uniknąć zdołamy tylko przezornością.

Oceniłem odległość na oko. Byliśmy bliżej pagórka niż oficer turecki, ponieważ jednak musieliśmy ostrożnie pełzać od krzaka do krzaka, mogliśmy naprzód postępować tylko bardzo powoli. Oficer miał wprawdzie odbyć ze swoją patrolą pokaźny kawał drogi, szedł jednak w prędkiem tempie marsza wojskowego.

Nie dało się zatem z góry obliczyć, kto z nas prędzej dojdzie do pagórka i czy uda nam się jeszcze na czas ostrzedz narzeczonego Albanki, aby trzymał się zdala niebezpiecznego drzewa.

Po pewnym czasie, gdy znaleźliśmy się w gęstym zaroślu, zatrzymaliśmy się chwilę, aby znowu zoryentować się w położeniu.

— Ma tylko jeszcze krótką przestrzeń do odbycia — szepnęła moja towarzyszka.

— Obawiam się, że jest już bliżej pagórka niż my — odpowiedziałem na to, nie mniej zaniepokojony od dziewczyny, czułem bowiem, że za kilka już może chwil zajdzie coś poważnego.

— Chodźmy prędzej naprzód — dodałem po chwili, widząc, że Albanka drży na całem ciele.

Poszliśmy znów naprzód i zatrzymaliśmy się dopiero w osłoniętym miejscu, niedaleko pagórka.

— Allah il Allah — krzyknęła młoda dziewczyna nadzwyczaj przerażona — oby nam pomógł go uratować!

Oficer miał właśnie zamiar drapać się na pagórek.

Nie namyślając się ani chwili i nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo, pobiegła dziewczyna w szalonym pędzie naprzód.

Widziałem jej szaty migotające między drzewami i stanowiące na rozległej równinie jasną

Uwagi i przestrogi pana Kuśtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Szanowni Koledzy i Cesarscy Słudzy!...

No — i karnawał — panie bździejku — skończony!... Wsadźmy głowę do „Popielnika“ i wołajmy wielkim głosem: „Śledzia, śledzia! daj nam panie Adolfie“!

Dla niewtajemniczonych w pijackie sprawy, muszę wyjaśnić, że „Popielnikiem“ zowie się zacna, pewna knajpa przy krakowskim Rynku, gdzie ludzie spragnieni piwa i towarzyskiej pogawędki, zgromadzają się wieczorami, a i w dzień także.

Tam też, podobnie jak i w innych knajpach, rozpostarł swe panowanie pokarnawałowe kot, jako symbol tak pospolitej w bieżących dniach choroby, zwanej katzenjamerem lub kociokwikiem — i śledź, jako jedyny środek na tego potwora. Jeżeli jednak kot silny, to i śledzie pożre i dalej ci we łbie kwiczał będzie.

Jest to jedna z przyjemniejszych muzyk, do których należą także skrobanie szkła szpicem noża, pisk psa ściśniętego za ogon i mielenie językiem mojej baby.

O! z tem ostatniem to się nic, panie bździejku! — porównać nie da. Nic dziwnego, mojej babie na imię Mańka i pochodzi aże z Grzegórzek, gdzie psy biją i trupy krają, więc jest niewiasta, niebojąca się i w sobie podufała.

Nieraz jej mówię delikatnie, jako człowiek znający się na cywilizacyi wielkokrakowskiej.

— Mańka! Mańka! zamknij raz ten wiatrak. Dziwno mi, że ci język kołem nie stanie i ślin w tej paskudnej paszczęce nie zabraknie!

— O! ja nieszczęśliwa! — wrzeszczy baba na to. — To już mi i gadać nie wolno w mojem własnem opłacaniu? Bo co twoje, to i moje!.. Rozumiesz mnie, ty zwierzyniecki synu!.. Ady ty chyba Boga w sercu nie masz, kiedy mi gadanie bronisz. To ty potworo nie wiesz, że teraz mamy karnawał i jeżeli mnie na żadne bale nie prowadzisz, to pozwól, niech mi chociaż język w gębie tańcuje.

— Niech on tańcuje! — mruknąłem — a na

---

i widoczną tarczę dla kul nieprzyjacielskich. Już dobiegła do podnóża pagórka. Tymczasem jej narzeczony nadchodził z wartą z drugiej strony.

— Emir! — krzyknęła przeraźliwie, a okrzyk ten pełen zwątpienia i rozpaczy, przedarł powietrze i odbił się o las echem.

W tym samym momencie padł strzał.

Oficer słyszał jednak krzyk kochającej narzeczonej, odczuł w jego drżeniu przestrogę i z niezwykłą przytomnością umysłu, odskoczył w bok, chyląc się równocześnie ku ziemi. Przez to uszedł nieprzyjacielskiej kuli.

Natychmiast potem podniósł się i zwrócił ku drzewu, z którego padł strzał. Spostrzegłszy między gałęziami ukrytego Albańczyka, wyjął z błyskawiczną szybkością rewolwer i strzelił.

Wróg stoczył się z gałęzi i padł na ziemię z głuchym łoskotem, właśnie w miejscu, gdzie leżał trup poprzednio zamordowanego żołnierza tureckiego, stojącego pod drzewem na warcie.

Z radosnym okrzykiem rzucił się oficer ku pięknej dziewczynie.

— Czy nie jesteś trafiona lub ranna, ty moja bohaterko? — krzyknął pełen strachu.

— Nie, drogi! — odpowiedziała i rzuciła mu się w ramiona — a ty, ty żyjesz!

— Uratowałaś mi życie, mój najdroższy klejnocie! Ono podwójnie teraz do ciebie należy.

Tymczasem zbliżyłem się do szczęśliwej pary.

— Nie jest jeszcze czas właściwy — rzekłem ostrzegająco — oddawać się szczęściu. Pomyślcie lepiej o własnem bezpieczeństwie i popatrzcie poza siebie.

Pod lasem ożywiła się murawa, jakby na nią wysypało się stado czarnych baranów. Były to sylwetki wynurzających się ze wszystkich stron Albańczyków.

Oficer poznał szybko niebezpieczeństwo i dał krótki znak sygnałowy trąbką.

Szybko odprowadziliśmy młodą dziewczynę ku drzewu, za którego grubym pniem mogła znaleźć bezpieczną ochronę przed nieprzyjacielskiemi kulami.

(D. n.).

żaden bal to i tak cię nie wezmę, bobyś ludzi wystraszyła, ty kociubo!...

Baba moja jest na szczęście głucha, więc nie słyszała ostatniego komplementu, inaczej miałbym ja się z pyszna.

Nie usłyszała i gadała dalej:

— Mój Boże! Takie ładne, urocze zabawy odbywają się, a człowiek siedzi jak w kryminale. Mówiła mi moja kumoszka, że u Siapsi na Kaźmierzu zbiera się cała elitywa towarzystwa, a sam Felek Zakalec aranżiruje krokodyla i inne modne krakowiaki. Bal służby dworskiej u Rotesia miał niezwykłe powodzenie. Rudej Florce oberwali suknię do pasa, a jej mąż dostał trzy razy w pysk. Bal stróżów katolickich odznaczał się werwą niebywałą. Jeden stróż złamał stróżce nogę w biodrze, tak, że baba obrażona w najbliższym walcu, uderzyła go butem, tak, że teraz chłop leży we szpitalu.

Na Zwierzyńcu była także na końcu karnawału majówka, a ja na niej nie byłam. Grzegórzki aż grzmiały echem wiwatów i muzyki. Dość powiedzieć, że na zabawę u Zamiatajów kupiono od hycla 10 psów, złapano prócz tego w sieniach rozmaitych domów ośm kotów — i wszystko poszło...

Ale czy ja to wiem o czem, jak tylko z opowiadania? Czy ruszyłam się gdzie nogą?! Boże! Ty widzisz, a ja się patrzę! Gdy się ma chłopa takiego niedołęgę — to może życie zbrzydnąć!.

— Cichaj Mańka! — rzeknę babie na to. — Jeżeli nie powiększysz grona aniołków do przyszłego roku, to cię wezmę i do Siapsi i do Rotesia i do chrześciańskich stróżów i będziesz jadła i psa i kota i dyabła i anioła z nerką lub od kości, ale teraz, mój aniołku, pozwól mi spełnić obowiązki, jakie post na mnie nakłada: pójść do „Popielnika“ i zjeść tam śledzia, na co i Was, Kochani Koledzy, niniejszem zapraszam!!!

ROZMAITOŚCI.

Niemcy.

(Wykrycie zbrodni po sześciu latach). W lesie pod Heildelbergiem zabito przed sześciu latami leśniczego Siegmunda w potyczce z kłusownikami. Podejrzenie padło zaraz na dwóch robotników ceglarskich, których wnet zaaresztowano, ale jeszcze prędzej na wolność wypuszczono, ponieważ popełnienia zbrodni nie można im było udowodnić. Obecnie jeden z ceglarzy, niejaki Urbanowitz, trapiony wyrzutami sumienia, sam zrobił na siebie doniesienie karne, że on to był tym, który leśniczego zastrzelił.

Paryż.

(Polowanie za apaszami). Podczas powodzi w Paryżu w pośród egipskich ciemności patrolowała ustawicznie straż policyjna po wezbranych wodą ulicach. Patrolowała z bagnetem w ręku na łodziach, polując za rabującymi apaszami, którzy napadali opuszczone przez mieszkańców domy. Pewnej nocy strzelali żołnierze z łodzi do apaszów. Jeden z bandytów śmiertelnie ranny wpadł do wody i utonął. Inni ratowali się ucieczką, ale przedtem jeszcze odstrzelili się atakującym ich żołnierzom, z których trzech położyli na miejscu trupem.

Apasze zawsze mają jakoś więcej szczęścia, niż policya.

(Nowy zamach morderczy apasza Liabeufa). Morderca ajenta policyi Deray'a — apasz Liabeuf usiłował niedawno temu w celi swojej zabić dozorcę więziennego, szaragami. Przez pozorne posłuszeństwo i pokorę, zyskał zaufanie dozorcy, tak, że ten z czasem pozbył się zupełnie nieufności wobec swego więźnia. Gdy dozorca wszedł do celi, wyrwał Liabeuf hak na ubrania ze ściany i rzucił się z nim na niego. Dozorca sparował cios ramieniem. Przy tej obronie doznał napadnięty szarpanej rany i złamania kości przedramienia.

Liabeuf oświadczył z całym spokojem, że zamach ten powtórzy, gdy tylko nadarzy się sposobność ku temu.

(Straszna scena w kasarni). Straszny krwawy czyn rozegrał się niedawno temu w ka-

sarni 28 batalionu strzelców w Grenoble. Kapitan Sutter miał tam właśnie inspekcyę i rozkazał szeregowcowi Janowi Coahde, by mu pokazał zawartość tornistra.

Żołnierz otwarł tornister i wyciągnął z niego koszulę i nagle rzucił ją w twarz swojemu kapitanowi.

W tej samej chwili wyciągnął bagnet i zadał mu znienacka potężne pchnięcie w brzuch, tak, że go na wylot przekłuł.

Feldwebel Pichon rzucił się na żołnierza, ale ten wyciągnął już bagnet z ciała oficera i natarł nim na feldwebla. Ten zaczął uciekać, a chciwy krwi żołnierz ścigał go. Teraz rozpoczęło się straszne polowanie na dziedzińcu kasarni. Wreszcie dopadł go i zranił niebezpiecznie bagnetem. Trzymając skrwawiony bagnet w ręce, wypadł teraz żołnierz z kasarni i popędził na dworzec kolei.

Pewien kapral zastąpił mu drogę, powalił go o ziemię i przytrzymał, aż inni pospieszyli z pomocą. Kapral otrzymał również poważną ranę od szaleńca.

Kapitan oraz ciężko ranny podoficer Pichon zostali umieszczeni w wojskowym szpitalu.

Rekrut liczy lat 22 i był przedtem robotnikiem rolnym. Już przed wstąpieniem do wojska był kilkakrotnie karany.

Rumunia.

(Siamskie bliźnięta). W powiecie Luzu w Rumunii powiła pewna wieśniaczka bliźnięta przypominające sławne „siamskie bliźnięta“.

Dziecko (właściwie jest to dwoje dzieci), ma dwie głowy, cztery ramiona i cztery nogi. Aż do połowy piersi są to dwa osobne korpusy. To podwójne dziecko ma jeden wspólny żołądek, jak również jeden wspólny organ płciowy.

Ponieważ matka bliźniąt ciężko zachorowała, żywią je sztucznie, a mianowicie podają pokarm do jednych z dwojga ust, które wydają się zdrowsze i więcej żywotności zdradzają.

Proboszcz miejscowy ochrzcił to igrzysko natury dwoma imionami, Wasyli i Jerzy. Urzędnik stanu był więcej ostrożnym. Zapytał najpierw swej zwierzchności, czy ma zaciągnąć jedno, czy też dwoje dzieci do ksiąg urodzin. Dotychczas żyje jeszcze ta podwójna, dziwna istota. Rodzice otrzymali już wiele propozycyi dotyczących kupna ciał po śmierci tego dwój-potworu.

San Francisco.

(Trzydzieści razy żonaty). Pewien Niemiec, mający jak najlepszą opinię, niejaki Miller (nieśmiertelne nazwisko!) podający się za barona i hrabiego — został w San Francisco zaaresztowany. Jest on oskarżony o to, że 5 razy w Nowym Yorku, a 25 razy w innych miastach Ameryki był żonaty. Zarazem skonstatowano u niego szwindle i nadużycia pieniężne.

Ciekawa kroniczka.

Słynny ogrodnik Luther Burbank hodował między innymi cudami ogrodnictwa białe poziomki, śliwki bez pestek i kaktusy bez kolców.

Jest prócz zwierzęcej również wiwisekcya pewnych gatunków roślin i to z użyciem narkozy lub bez niej.

Jeden gram radium wydziela z siebie w przeciągu roku 219 kubicznych centimetrów helium i traci przy tem zaledwie $1/_{5000}$ swej wagi.

W Brazylii rośnie 300 różnych gatunków bananów.

Dorosły człowiek wydechuje dziennie około 500 litrów = 1 kg kwasu węglowego.

Brazylia, posiadająca dziewicze lasy z najwspanialszymi gatunkami drzewa, musi deski sosnowe sprowadzać z Finlandyi.

Jedynem przedpotopowem zwierzęciem plątającem się jeszcze w niewielu egzemplarzach w Nowej Zelandyi jest jaszczurka zwana sphenodon punctator.

Cysterny Adenu mają ogółem pojemności 135,000.000 litrów wody.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryi.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza droguerya.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.
Niebezpieczny zakład.
Błędne ogniki.
Głodomor Ricardo Sacco.
Morderstwo w haremie.
Fabrykant dyamentów.
Tajemnica hrabiny Castellone.
Pamiętnik umarłej.
Zbudzona z letargu.
Doświadczenie rzeźbiarza.
Brylanty za pięć milionów.
Zwój włosów.
Demon z Stamford-Hill.
Tragedya zazdrości.

Co sobotę regularnie ukazuje się nowy numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, kolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.